B.D.I.C

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień ***Dnia 17-go kwietnia 1943r.*** **Rok V. Nr. 15**

PRAWO DO ŻYCIA

Wojna obecna nie toczy się w wyniku jakichś sporów dynastycznych, lub nawet dla podbojów terytorialnych. Nieprawdą jest również jakoby Rzesza Niemiecka została do niej zmuszona na skutek tragicznej sytuacji gospodarczej, będącej — naturalnie! — bezpośrednim skutkiem "nieszczęsnego" Traktatu Wersalskiego. Nie tylko Niemcy mieli miliony bezrobotnych! Ani Stanom Zjednoczonym, ani Wielkiej Brytanii — bo te dwa państwa miały największą cyfrę niezatrudnionych obywateli — nie przyszło na myśl szukać w wojnie lekarstwa na bezrobocie.

Wojna obecna to nieubłagana walka imperializmu, żądzy panowania nad światem, z zamiłowaniem wolności, z wiarą w prawo narodów do samostanowienia o własnym losie. Jak każdy człowiek ma prawo wyboru czy chce być cieślą, rolnikiem, czy szewcem, tak samo i narody mają prawo decydowania o swoich losach, prawo swobodnego wyboru drogi, jaką chcą w przyszłości podążać. Oto jest treść obecnej zawieruchy dziejowej, oto jej sens istotny.

I właśnie wierząc najgłębiej w te zasady Wielka Brytania zawarła w lecie 1939 roku sojusz z Polską, właśnie dlatego rzuciliśmy nasze domy, pozostawili w Kraju rodziny, wszystkie osoby najdroższe naszym sercom i poszliśmy w bój, poszli na tułaczkę tyle lat już trwającą.

Przyszłe losy nasze zna tylko jeden Bóg Najwyższy. Zasłonięte są one przed naszymi oczyma. Ale jeżeli mamy wrócić do Kraju z czystym sumieniem, jeśli wolno nam będzie śmiało spojrzeć w oczy naszym najbliższym, to tylko wtedy, o ile pozostaniemy ślepo wierni tym zasadom wolności, które zdecydowały w 1939 roku o stanowisku Polski. I które sprawiają, że Polska jest dziś tak jednolita, niczym bryła granitu, że mimo lat okrutnej męki nie wydała z siebie — jedyna z narodów świata — zdrajcy.

* * *

Doprawdy warto sobie to wszystko przypomnieć, gdy obserwuje się rozwój wypadków w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Po raz pierwszy naprawdę — zarysowały się pomiędzy Sprzymierzonymi różnice w poglądach na cele obecnej wojny. Być może, że różnice te istniały już dawniej. Obecnie ujrzały światło dzienne. Przeszły na łamy prasy, stały się tematami artykułów wstępnych.

Specjalny rozgłos zdobyły artykuły wstępne *The Times'a*. I nic dziwnego. Wszak niewątpliwie jest to pierwszy dziennik świata. Artykuły jego urabiają pojęcia, kształtują poglądy sfer decydujących o losach i polityce Imperium Brytyjskiego. To też artykuły te czytane są we wszystkich stolicach świata z wytężoną uwagą.

Jako pozostałość z minionych dziesiątków lat — utarło się utożsamianie poglądów wyrażanych przez *The Times'a* z całością opinii publicznej Wielkiej Brytanii. Otóż — w imię prawdy — należy stwierdzić, że pismo to reprezentuje jedynie pewien raczej wąski, choć niewątpliwie jeszcze niezmiernie wpływowy, odłam społeczeństwa brytyjskiego. Odłam, którego głównym oparciem jest świat interesów, krótko mówiąc *City*. Ale wpływ jego na rozwój życia politycznego, jak też i na stanowisko zajmowane przez Wielką Brytanię w danych zagadnieniach politycznych, wyraźnie w ciągu kilku ostatnich lat zmalał. Klasycznym tego przykładem był pakt t.zw. "Hoare-Laval" zawarty na początku wojny pomiędzy Włochami a Abisynią. Pakt ten — przewidujący załatwienie kompromisowe, bardzo jednak korzystne dla Włoch — doszedł do skutku przy wyraźnym błogosławieństwie *City*, pragnącej jak najszybszego zlokalizowania wojny włosko-abisyńskiej i oczyszczenia atmosfery politycznej Europy, kosztem biednego Negusa i jego czarnych poddanych. Otóż reakcja opinii publicznej — oburzonej cynizmem paktu Hoare-Laval — była tak natychmiastowa i tak silna, że Sir Samuel Hoare musiał opuścić stanowisko szefa *Foreign Office'u*, pakt został potępiony przez parlament, a rząd Laval'a się wywrócił.

Nie będziemy tutaj rozważać, czy stało się dobrze, czy źle. Chodzi nam tylko o udowodnienie, że nie zawsze wpływowa grupa ludzi *City*, których to sfer faktycznym organem politycznym jest *The Times*, decyduje o linii postępowania polityki Wielkiej Brytanii. To należy mieć w pamięci obserwując i oceniając polemikę, jaka miała miejsce w ostatnich tygodniach po obu stronach Atlantyku.

Wywołał ją, niezmiernie zasadniczy artykuł wstępny, jaki pojawił się w *The Times'ie* dnia 10 marca b.r. Artykuł ten zatytułowany "*Security in Europe*" omawiając organizację przyszłego bezpieczeństwa europejskiego, postawił tezę, iż "opiekę" nad porządkiem i zabezpieczeniem pokoju w przyszłej, powojennej Europie należy powierzyć dwu mocarstwom, a mianowicie Wielkiej Brytanii i Rosji. I, że tak samo jak utarło się powiedzenie, iż granica W. Brytanii leży na Renie, tak samo należy stwierdzić, że granica Rosji znajduje się — w podobnym sensie — na Odrze. Artykuł ten wywołał wielką burzę, która przejawiła się częściowo, w listach do wydawcy *The Times'a*, głównie zaś w — niezmiernie silnych — odpowiedziach prasy amerykańskiej, niegodzącej się ze stanowiskiem *The Times'a* i zarzucającej mu odstąpienie od zasad sformułowanych w "Karcie Atlantyckiej."

Wielkie wrażenie w całej tej dyskusji wywarła mowa wygłoszona, przez radio, przez Winstona Churchilla dnia 21 marca b.r. Aczkolwiek przemówienie to w przeważnej części poświęcone było zagadnieniom z zakresu polityki wewnętrznej W. Brytanii, to jednak Winston Churchill uznał za potrzebne rzucić kilka zasadniczych myśli poświęconych przyszłości Europy, roli wielkich i małych narodów, oraz wzajemnemu stosunkowi państw europejskich pomiędzy sobą. Mówił on o konieczności wykorzystania doświadczeń, jakie nam pozostawiła Liga Narodów, rzucił ideę stworzenia po wojnie "Rady Europy," gdzieby wszystkie państwa europejskie były reprezentowane.

Była to mowa rzeczywiście "dobrego Europejczyka" za jakiego Churchill słusznie się uważa. Mowa ta wywołała doskonałe wrażenie i przyczyniła się niezmiernie do oczyszczenia atmosfery politycznej, zakłóconej wywodami *The Times'a*. Wpływ mowy Churchilla przejawił się — nader silnie — w jedynym przemówieniu publicznym przez p. Antoniego Eden'a wygłoszonym w Ameryce w kilka dni później. Jeśli chodzi o stanowisko polskie, to — nazajutrz po mowie Churchilla — prof. Kot, nowomianowany polski minister informacji, złożył *The Times'owi* oświadczenie, w którym, w imieniu rządu polskiego, jak najgoręcej zsolidaryzował się ze stanowiskiem Winstona Churchilla i oddał pochwałę wielkiemu zrozumieniu przez niego zagadnień europejskich.

Na tym dyskusja została obecnie wyczerpana. Należy mieć nadzieję, że poglądy prof. Carr'a /będącego jak wiadomo członkiem zespołu redakcyjnego *The Times'a*/ pozostaną odosobnione i nie znajdą poparcia w opinii publicznej Wielkiej Brytanii. Ale sprawa jest tak niesłychanie ważna dla nas, wszystkich przedstawicieli narodów europejskich, że należy baczyć niezmiernie pilnie i uważać czy — przycichła na razie — ofensywa entuzjastów "Wielkiej Czwórki," znowu, po jakimś czasie, nie będzie próbowała ponownie szczęścia.

* * *

W gruncie rzeczy sprawa jest jasna. I wcale nie nowa. Jest to walka pomiędzy dwoma wielkimi ideami, których owocem były dwa traktaty pokojowe — najdonioślejsze w dziejach nowoczesnych, mianowicie: "Święte Przymierze," będące owocem Kongresu Wiedeńskiego, i Traktat Wersalski rezultat Paryskiej Konferencji Pokojowej, po pierwszej Wojnie Światowej. Oba te traktaty — zmieniające linie mapy całej Europy — były wyrazem dwóch, biegunowo odmiennych idei. Święte Przymierze przeszło do porządku nad zdobyczami Wielkiej Rewolucji francuskiej, oddało Europę pod straż trzech mocarstw, Rosji, Prus i Austrii, wyniosło interesy dynastyczne ponad interesy narodów. Nie zmazało też tej największej hańby XVIII-go stulecia, jaką stanowiły rozbiory Polski. Trudno się temu zresztą dziwić, gdyż mocarstwa tworzące zrąb Świętego Przymierza, były właśnie tymi samymi, które rozdarły Polskę na trzy części . . .

W sto lat później podpisany, Traktat Wersalski innej hołdował zasadzie. Było nią samostanowienie narodów o swoim losie, o formach, w jakich chcą rozwijać one swą przyszłość. Wielkim apostołem tej idei był Prezydent Stanów Zjednoczonych prof. W. Wilson, którego nazwisko zapisane będzie po wieki, we wdzięcznej pamięci ludów Europy.

Idee W. Wilson'a nie znalazły w Traktacie Wersalskim pełnego urzeczywistnienia. Stanęli temu na przeszkodzie różni mali politycy, intryganci, nie mogący zerwać z dawnymi nawykami myślowymi, obracający się wciąż w pojęciach "równowagi sił," bojący się nadmiernego wzrostu potęgi Francji w Europie. To też szereg zaleceń komisyj ekspertów nie weszło w życie.

Polska odczuła też bardzo boleśnie, na własnej skórze, skutki tych gier politycznych. A więc — wbrew żądaniom i *jednomyślnej* opinii komisji ekspertów pod przewodnictwem amb. Nolens'a — nie przyłączono do Polski Gdańska, tworząc pokraczne Wolne Miasto, które, w dwadzieścia lat później, miało stać się bezpośrednim powodem wybuchu drugiej Wojny Światowej. Również przyłączenie Górnego Śląska do Polski uzależniono od plebiscytu /w którym dozwolono brać udział nie tylko ludziom zamieszkałym na Śląsku, ale nawet takim których ze Śląskiem łączył tylko fakt urodzin na tym obszarze/. Nie przyłączono do Polski części Warmii — urządzono tam również plebiscyt, w lecie 1920 roku, w chwili śmiertelnych zapasów Polski z wrogim najazdem. Zrobiono wszystko co tylko można było, byle osłabić pozycję Polski wobec Niemiec, byle biedna Rzesza nie była zbytnio bezbronna wobec "żandarma Francji na wschodzie Europy," jak nazywały pewne sfery odrodzoną Polskę!

Los lubi płatać figle, więc i te wszystkie błędy pomściły się jeszcze za życia tych szlachetnych obrońców Niemiec i chociaż już dźwigają ósmy krzyżyk na grzbiecie, mają oni teraz możność, n.p. spacerując po ulicach spalonej *City* londyńskiej, lub siedząc w Izbie Gmin w prowizorycznej sali, gdyż historyczne miejsce obrad Parlamentu Brytyjskiego zostało rozbite bombami niemieckimi — do rozważań i rozmyślań jak to "dobrzy Niemcy" odwdzięczyli się im za obronę przed "krwiożerczym" prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Ale pomimo tych wszystkich błędów /z których bodaj największym było, iż bano się ten traktat w pełni wykonać/, Traktat Wersalski jest wielkim dziełem; stanowi dla ludów Europy fundament gmachu wzajemnego współżycia. Jest on niewątpliwie znacznym krokiem naprzód. Idea Ligi Narodów, jaka po raz pierwszy w dziejach, znalazła w nim swój konkretny wyraz, nie może zostać porzucona. Stara Liga Narodów była popychadłem, ornamentem bez większej treści, gdyż wypaczono jej sens, odebrano jej treść. A nie dano jej władzy — mocy realizowania swych uchwał.

Jednak jako próba ujęcia życia między narodami w takie same prawidła i ramy, w jakich zawarte jest w każdym społeczeństwie życie pomiędzy poszczególnymi jednostkami — Liga Narodów jest wielkim osiągnięciem. Należy ją po tej wojnie ożywić w nowej, ulepszonej formie. I to niewątpliwie miał na myśli Churchill, mówiąc o "*Council of Europe.*" Należy wyposażyć ją w odpowiednie organy egzekucji jej postanowień. Należy uczynić z niej rzeczywistego stróża zbiorowego bezpieczeństwa.

Warto doprawdy o tym wszystkim pamiętać, myśląc o przyszłym świecie. Jakże bowiem często słyszy się, wśród nas samych tanie kpinki z Ligi Narodów. Ci dowcipnisie nie zdają sobie sprawy, że wyszydzając i zwalczając ideę Ligi Narodów, oddają tym samym usługę . . . imperializmom wielkich mocarstw. Mniejsza o to jakich. Bo dziś jest to imperializm Niemiec czy Japonii, a jutro może to być imperializm n.p. . . . Chin.

Nie chodzi o to *czyj* to jest imperializm, chodzi o *zasadę*. O to, że we *wszelkich* imperializmach tkwi zarodek przyszłego konfliktu, trzeciej Wojny Światowej. A tego przecież pragniemy wszyscy uniknąć. Jak słusznie powiedział kierownik polskiego ministerstwa spraw zagranicznych p. Edward Raczyński w *exposé* przed komisją zagraniczną Rady Narodowej, to "*nie małe narody są sprawcami i autorami wojen.*" A jedynym — istotnym i dostatecznie silnym hamulcem, zdolnym powstrzymać to czy inne mocarstwo przed rozpętaniem wojny, może być tylko nowa, sprawniejsza Liga Narodów, stojąca na straży zasady zbiorowego bezpieczeństwa. Nie zastąpią jej zaś w tym zadaniu żadne "*Wielkie Czwórki*" proponowane przez prof. Carr'a i lansowane w artykułach wstępnych *The Times'a*.

"*Równość narodów, na których opierać się winien pokój, o ile ma być trwały — musi oznaczać równość praw; zabezpieczenia jakie zostaną ustanowione nie mogą ani uznawać, ani zawierać różnic pomiędzy wielkimi narodami i małymi, pomiędzy tymi, które są potężne i tymi, co są słabe.*" Te wspaniałe słowa Woodrow'a Wilson'a, zawarte w orędziu do Kongresu z dnia 22 stycznia 1917 roku, nigdy nie były bardziej aktualne, nigdy nie brzmiały w naszych uszach bardziej na czasie, niż w chwili obecnej. Prezydent Stanów Zjednoczonych ujął w tym zdaniu największą prawdę stosunków pomiędzy narodami, najważniejsze zagadnienie międzynarodowe.

Tak samo jak przed sądem nie gra — i nie może grać — żadnej roli bogactwo danej jednostki, o ile mamy spodziewać się słusznego wymiaru sprawiedliwości, tak samo i w stosunkach pomiędzy narodami nie może grać żadnej roli to, czy liczy on 150 czy też tylko 3 miliony ludzi. Istnieją pewne zasady moralne mające jednakie zastosowanie w odniesieniu do *wszystkich* narodów, tak samo jak paragrafy kodeksu cywilnego, czy też kodeksu karnego odnoszą się jednako do *wszystkich* obywateli danego społeczeństwa. *Są pewne prawdy, których nie wolno naruszać.* Usunięcie ich bowiem /lub nawet bodaj tylko "elastyczne interpretowanie"/ burzy *cały* porządek bytu. Zarówno w życiu jednostki, jak i w życiu narodów.

Jeśli Wielka Rewolucja dała sformułowanie zasadniczych praw każdej jednostki — bez względu na jej pochodzenie, warstwę społeczną, zamożność, czy siłę — my obecnie musimy doprowadzić do końca walkę o urzeczywistnienie tych samych zasadniczych praw i obowiązków w stosunkach międzynarodowych. Nie wolno wzruszać ramionami i mówić "płonne, niezyiszczalne marzenia." *To nie są marzenia.* To musi być rzeczywistość. To jest fundament, na którym *musi się* oprzeć przyszłość świata. Bo inaczej świat ten runie w konwulsjach nowej wojny światowej, grzebiąc nas wszystkich w swoich ruinach . . .

Chodzi o "prawo do życia." Chodzi o stworzenie takich warunków — jednakich dla wszystkich narodów — by położono wreszcie tamę żądzy podbojów, tworzenia "przestrzeni życiowej," *Lebensraum'ów, leadership'ów*, czy jak tam będziemy chcieli te więzienia nazwać. Więzienia całych narodów.

My Polacy, którzy blisko przez półtora wieku, znajdowaliśmy się w tym więzieniu, pozbawieni wolności, niepodległości politycznej, rozumiemy lepiej niż może inne narody popsute dobrobytem swobody nienaruszonej od wieków — co ta Niepodległość oznacza, jak wielki ma ona urok, jak wysoką warto za nią płacić cenę. I jak wysoką cenę — w tej chwili — w walce o nią, Naród Polski płaci.

Nasze pokolenie, które rozpoczęło dojrzałe życie dopiero po 1918 roku, w pierwszych latach istnienia Niepodległości, które zachłysnęło się nią pełnymi płucami, ocenia może lepiej, niż starsze pokolenie, co oznacza obecny chwilowy jej brak. Jest to jak brak tlenu dla płuc. I to pokolenie wie, że *wszelkie różnice* — jakie by mogły dzielić je — są nieważne wobec tej wspólnej, olbrzymiej, najważniejszej, jedynie istotnej świętej walki o prawo do Niepodległości, do Swobody. *O prawo do życia.*

STEFAN ŻUROWSKI

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

Szkic sytuacyjny

SFAX ZAJĘTY

Akcja w Tunisie przybiera na sile; wojska brytyjskie połączyły się z siłami amerykańskimi a wypieranie nieprzyjaciela postępuje coraz szybciej. Komentator wojskowy "*Daily Expressu*" zastanawia się, czy jest możliwe uprzątnięcie wroga do dnia 1-ego maja. Większość komentatorów wojskowych uważa, że akcja tunetańska potrwa dłużej, ale dzisiaj zarysowuje się możność obliczania jej już tylko *na tygodnie*.

Zabrała ona wiele czasu, więcej czasu, aniżeli sądzili optymiści. Dowiodła ona, że obrona państw osi nie jest bynajmniej byle jaka i że trzeba *najbardziej doświadczonego żołnierza* — jak żołnierze Ósmej Armii — ażeby wypędzić wroga ze stanowisk. Nauka z Tunisu przyda się wielce jako doświadczenie praktyczne, pożyteczne w planowanej na rok bieżący inwazji Europy. Wydaje się, że od chwili lądowania n.p. na południu Europy, w Grecji, do dotarcia do granic Rzeszy, upłynie trochę czasu. Wiele wskazuje na to, że wojska niemieckie będą stawiały ostry opór i że raczej nie można liczyć na t.zw. *walk-over*.

Rozważając możliwości lądowań w Grecji, tygodnik "*Tribune*" oblicza, że jeżeli do zajęcia Krety Niemcy musieli rzucić aż 25 /a może 30/ tysięcy wojsk spadorochonowych, to wszelka akcja sojusznicza w stronę Grecji pochłonie o wiele większe stawki spadochroniarzy. Nawet jeżeli przyjmiemy, że panowanie na morzu da dużą przewagę w przeprowadzeniu pewnej ilości transportu, to jednak ilości spadochroniarzy jakie muszą być użyte w razie ataku na każdy punkt Europy — będą olbrzymie.

W Tunisie trzymają się dwie wielkie twierdze — Bizerta oraz Tunis. Obrona ich jest napewno poważna, ale oczywiście będzie złamana. Armia Ósma ma już wprawę w łamaniu linii obronnych. Niemcy mogą wyewakuować w dużej mierze swoje wojska, nawet nieco sprzętu, porzucając na pastwę losu — Włochów. Przemknięcie się transportów nocą, a nawet dniem, jest możliwością nie tylko teoretyczną. Oczywiście, Montgomery chciałby wziąć rewanż za Dunkierkę i ma po temu nie lada sposobność. Flota wojenna W. Brytanii będzie mogła pokazać swoje pazury; takiej możliwości Niemcy pod Dunkierką nie mieli.

Pytanie jednak, czy flota wojenna Włoch zdecyduje się na wyjście z kryjówki, *nie* jest jeszcze ostatecznie załatwione. Doenitz uzyskał pewne zmiany i ustępstwa od Włochów, ale Włosi muszą sobie zdawać sprawę z tego, że wypuszczają z ręki *ostatni niejako swój atut*. Flota wojenna Włoch *nie jest drobiazgiem*.

ATAK PRZEZ HISZPANIĘ?

Alarmy na temat Hiszpanii i możliwości ataku niemieckiego na ten kraj ożywiły się. Propaganda niemiecka powiada coraz częściej, że sojusznicy gotują się do skoku na Hiszpanię i że Hiszpania odeprze wszelki tego rodzaju atak. Być może jednak, że tego rodzaju balony próbne dowodzą, że to — *Rzesza chciałaby rzucić się na ten kraj*.

Hiszpania daje Hitlerowi pewne korzyści: cały brzeg wschodni Morza Śródziemnego, przez co łatwiej mu bronić Włoch; daje możliwość opanowania Balearów, o które musi mu dzisiaj chodzić więcej aniżeli kiedykolwiek. Dywersja wreszcie, jaką mógłby wykonać jest oczywiście poważna. Opóźniłaby ona znowu usunięcie się z Tunisu. Przez to Hitler zyskałby na czasie.

Dlatego nie należy wykluczać inwazji Hiszpanii. *Istnieje dalej możliwość uderzenia na Turcję:* nie darmo od pewnego czasu propaganda niemiecka oskarża Turcję o przygotowywanie uderzenia na Bułgarię. Wskazywało by to również jak wiatr wieje.

Trzeba wreszcie, niejako dla kompletu, wspomnieć o Szwecji. Znalezienie przez celników szwedzkich na granicy szwedzko-fińskiej w Haparandzie dokładnych map Szwecji drukowanych w Niemczech w r. 1940, wzbudziło wielkie zaniepokojenie w tym kraju. Przypomina się tam, że podobny incydent wydarzył się tuż przed atakiem niemieckim na Belgię, kiedy to w jednym z samolotów niemieckich rzekomo zmuszonych do lądowania na terenie Belgii znaleziono także dokładne mapy wojskowe Belgii.

Rzesza ma zatem te trzy możliwości tej wiosny. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby *musiała* je wykorzystać. Jeśli ich nie wykorzysta w tym roku — to chyba *nie wykorzysta ich już wcale*.

SZANTAŻ POLITYCZNY W STOSUNKU DO ROSJI

Przygotowując nowe uderzenie wiosenno-letnie w Rosji /przyczem sądzić by należało, że pójdzie ono raczej w kierunku Moskwy oraz Leningradu, a mniej w kierunku południa/, Rzesza gra dzisiaj coraz więcej w karty polityczne. Dowodzi tego tworzenie t.zw. komitetu wyzwolenia Ukrainy /siedziba w Charkowie/ i zmiana stanowiska wobec Ukraińców, których stara się dzisiaj pozyskać rozmaitymi sposobami. Tworzenie postępuje opornie, ale robi się to wszystko — dla pokazu i dla szantażu. Podobnie obiecuje się autonomię *państwom bałtyckim*.

Są to wszystko *typowe szantaże polityczne*. Połączone są one z próbą tworzenia nawet . . . związku oswobodzenia Rosji z siedzibą w Berlinie. Do związku tego należą jakieś bliżej nieznane osobistości, m.i. rzekomo generałowie rosyjscy. Podobno istnieje — tak wołają niemieckie rozgłośnie, a szczególnie "*Donausender*" i "*Weichselsender*" — i legion rosyjski. O dokonaniach tego "legionu" rozpisują się pisma niemieckie, a korespondenci neutralnych pism notują również, że propagandzie niemieckiej zależy niebywale na rozpowszechnianiu tych wieści.

Tegoroczna rozgrywka w Rosji stać zatem będzie pod znakiem sztuki militarnej popartej sztuczkami politycznymi. Rzesza chciałaby politycznie "dobrać" się do Rosji. Chciałaby dojść do jakiejś ugody. Ale z kim, ale jak?

Na to podstawowe pytanie Rzesza nie znalazła jeszcze odpowiedzi.

WZMOŻENIE WOJNY PODWODNEJ

Jak się należało spodziewać *niemiecka furia w dziedzinie wojny podwodnej wzmogła się znacznie*. Niemcy rzucają do akcji coraz to nowe jednostki. Z reportaży nadawanych przez rozgłośnie niemieckie można wnioskować, że niemieckie okręty podwodne mają pełne ręce roboty. Słyszymy, że niektóre załogi były *na 60-ciu a nawet 70-ciu wyprawach operacyjnych*. Dowodzi to, że załogi podwodne pracują do ostatecznych granic wytrzymałości.

Wiosna i lato tego roku może stanowić szczytowy punkt niemieckiego wysiłku w tej dziedzinie. Strona brytyjska docenia ogrom tego wysiłku. Ostrzega się zatem na wszystkie strony, ażeby nie uważać bitwy o Atlantyk za wygraną. Toczy się ona przy zmiennych kolejach. Potrwa ona do końca roku. To, że "buduje się więcej — jak powiedział niedawno "*Manchester Guardian*" — aniżeli nam topią, jest jeszcze słabą pociechą. Nie po to przecież buduje się, ażeby statki tonęły." Trzeba okiełznać bestię niemiecką.

PERSPEKTYWY

Przemówienia angielskich mężów stanu w czasach ostatnich podkreślają stale, że "*wojna nie jest jeszcze wygrana.*" Ma to na celu pohamowanie nadmiaru optymizmu ludzi, którzy widzą już ruinę Niemiec na każdego pierwszego następnego miesiąca. Istotnie, zadanie jakie leży przed nami jest *olbrzymie*. Wykonanie inwazji kontynentu europejskiego jest — *największym przedsięwzięciem militarnym znanym dziejom*.

Umocnienia niemieckie na zachodnim pobrzeżu Europy są napewno poważne. Podobnie jest na północy. Na południu umocnienia te dopiero się tworzy, ale — jak niedawno powiedział "*Times*" — "murarze pracują w pocie czoła na wszystkich brzegach południa Kontynentu." Najwyższy wysiłek ludzki, sprzętu, mózgów sztabowców będzie potrzebny, ażeby *porazić skutecznie* opór niemiecki.

Bombardowania Rzeszy za dnia i w nocy napewno przynoszą poważne skutki. Raport *Air Ministry* powiada, że *Krupp* był nieczynny przez dłuższy okres po ostatnim nalocie. Istotnie, doniesienia neutralne powiadają, *że miasta niemieckie ucierpiały potężnie. Około 4 miliony ludzi w Rzeszy jest bez dachu nad głową.* Uciekają oni — ci co mogą — do krajów okupowanych. Przewozi się tysiące do Włoch. *Rzesza ma jeszcze gdzie rozmieścić swoją ludność.*

Niszczenie niemieckich *ośrodków przemysłowych* jest zadaniem na długą metę. Tych centrów jest setki, jeżeli nie tysiące.

Dotychczas bombardowanie Rzeszy rozpoczynało się i rwało. *Dopiero w tym roku wkraczamy w fazę kiedy bombarduje się mniej więcej uparcie.* Nie jest to jeszcze tempo noc po nocy i dzień po dniu, ale już dwa do trzech razy w tygodniu. W lecie możemy dojść nareszcie do bombardowania "*wokoło zegaru,*" jak powiada język angielski.

Londyn, dnia 11-ego kwietnia 1943

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

2 kwietnia: Piloci polscy biorący udział w walkach powietrznych w Afryce Północnej zestrzelili pięć "Messerschmidtów 109."

3 kwietnia: Brytyjski minister lotnictwa Sir Archibald Sinclair dziękując gen. Sikorskiemu za życzenia przesłane z okazji 25-lecia R.A.F.'u napisał: "Lotnictwo polskie było jednym z pierwszych, które przyszło z pomocą W. Brytanii w chwili krytycznej i będziemy mu zawsze wdzięczni za wspaniałą pomoc, zwłaszcza podczas Bitwy o W. Brytanię."

4 kwietnia: Polscy piloci w Afryce Północnej w czasie patrolu pod dowództwem kapitana Skalskiego zaatakowali wyprawę bombową nieprzyjaciela, osłanianą przez około 20 myśliwców. Wywiązała się ciężka walka z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, w czasie której strącono na pewno 2 "Messerschmidty" i 1 "Focke Wulf" prawdopodobnie. Wszyscy piloci polscy powrócili szczęśliwie do baz.

5 kwietnia: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową lotnictwa amerykańskiego na Antwerpię. Wszyscy piloci polscy powrócili.

—W Bagdadzie rozegrano rewanżowe spotkanie piłkarskie pomiędzy reprezentacją Armii na Wschodzie a reprezentacją wojska brytyjskiego. Spotkanie zakończyło się zwycięstwem brytyjskim w stosunku 4:2.

6 kwietnia: Ósma Armia podjęła dalszą ofensywę na pozycje obronne nieprzyjaciela w rejonie Wadi Akarit, na północ od Gabes.

—Polskie dywizjony myśliwskie ubezpieczały wyprawę bombową lotnictwa Sprzymierzonych na tereny okupowane przez nieprzyjaciela. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

7 kwietnia: Miał miejsce akt przejścia pierwszej grupy obywateli amerykańskich, pełniących służbę w Polskich Siłach Zbrojnych, do lotnictwa Stanów Zjednoczonych. Wszyscy ci Amerykanie wstąpili ochotniczo do wojska polskiego przed wejściem Ameryki do wojny.

—Boliwia przystąpiła do wojny przeciw obozowi "osi." Jest ona 33-cim narodem w wojnie z państwami "osi."

8 kwietnia: Prezydent R.P. i członkowie Rządu R.P. z gen. Sikorskim na czele przyjmowani byli przez lorda mayora City londyńskiej. W przemówieniu powitalnym lord mayor powiedział: "Gdy nadejdzie chwila Waszego powrotu do Kraju, wówczas sama sympatia nie wystarczy. Trzeba będzie zdolności i przyjaznej współpracy Zjednoczonych Narodów dla szybkiej odbudowy i przezwyciężenia niezmiernie ciężkich warunków życia Waszych rodaków." Prezydent Raczkiewicz w swym przemówieniu uwydatnił głębokie węzły łączące Polskę i W. Brytanię.

—Polskie dywizjony myśliwskie w godzinach popołudniowych i wieczornych osłaniały wyprawy bombowe Sprzymierzonych. Wszyscy piloci polscy powrócili.

9 kwietnia: Ogłoszono, że polski dywizjon w Dowództwie Obrony Wybrzeża w ciągu dwóch dni zatopił dwa nieprzyjacielskie okręty podwodne.

—Polskie dywizjony bombowe bombardowały Duisburg. Jedna załoga polska nie powróciła.

—W Inspektoracie Lotnictwa Gen. Ujejski w imieniu Naczelnego Wodza udekorował 13 członków polskich załóg bombowych orderami "Virtuti Militari" i Krzyżami Walecznych.

11 kwietnia: W nocy z 10/11 polskie załogi bombowe bombardowały Frankfurt n/M. Wszystkie załogi polskie powróciły.

Ponadto w ubiegłym tygodniu polski dywizjon bombowy w Dowództwie Obrony Wybrzeża ponownie skutecznie atakował żeglugę nieprzyjaciela. Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały patrolowania dzienne i nocne.

Nowości lotnicze

Najbardziej zastanawia wszystkich jedna kwestia: dlaczego właściwie Luftwaffe nie bombarduje Londynu pozostawiając bez odpowiedzi tak bolesne bombardowanie Berlina? Spodziewano się naprzód nalotu zaraz, potem znawcy twierdzili że trzeba poczekać na rewanż parę dni, gdyż nawet radio niemieckie ustami Lorda How-How przyrzekło święcie, że już bliski dzień i godzina. Lecz w dalszym ciągu milczenie. Nie wiemy czy w chwili podania niniejszego do wiadomości publicznej jeszcze będzie cicho. W każdym razie do chwili, kiedy piszemy jest cicho.

Niewątpliwie, gdyby Niemcy mogli zbombardować Londyn i w myśl zapowiedzi komentatora radia berlińskiego, "nie pozostawić w nim kamienia na kamieniu," uczyniliby to bez chwili namysłu. Jeżeli jednak tak nie czynią—nie mogą. Należy zastanowić się tedy nad przyczynami dlaczego nie mogą. Przyczyn tych może być kilka, poza najważniejszą; w tej chwili liczebność pierwszej linii Luftwaffe spadła gwałtownie i to do połowy. Doliczyć się można na rozmaitych frontach około 2500 samolotów bojowych, zamiast niedawnych 5000. Wskazywaliśmy już na to zjawisko w jednym z poprzednich artykułów, pytając: co się stało właściwie z Luftwaffe?

Nie należy lekkomyślnie przesądzać sprawy i z tak nagłego opadu stanów wyciągać wniosków o załamaniu się Luftwaffe. Tak wcale nie jest. Luftwaffe ma napewno powyżej czterech tysięcy samolotów pierwszej linii. Może nie osiąga swych stanów z roku 1941, lecz różnica nie jest wielka. Jednak w tej chwili około połowy z ogólnej liczby eskadr jest na przezbrojeniu. Niektóre są w głębi kraju, niektóre w Polsce, Austrii, nawet na Węgrzech. Milch odbudowuje swą rezerwę strategiczną. Dlatego należy spodziewać się niezwykle silnego wystąpienia Luftwaffe w walkach wiosennych, przy końcu kwietnia, względnie w maju. Gdzie użyta zostanie—nie wiadomo. W tej chwili inicjatywa wypadła w znacznej mierze z rąk niemieckich i uzależniona jest od pociągnięć Aliantów. W pewnej mierze — rzecz jasna — gdyż mimo wszystko, inicjatywa ta może być uchwycona przez Niemców na froncie wschodnim.

Mimo tak heroicznego postanowienia, by odbudować siły Luftwaffe bez względu na to co się dzieje, sprawy wojny idą swoim i to nie najlepszym dla Niemców torem. W tej chwili istnieje kilka wrażliwych punktów, i na tych wszystkich trzech Luftwaffe musi działać. Na pierwszy plan wysuwa się przede wszystkim Afryka i konieczność gwałtownej ewakuacji Rommla z Tunisu na Sycylię. Operacja ta, która będzie przeprowadzana w znacznie cięższych warunkach niż operacja w Dunkierce, może się udać jedynie pod osłoną niezwykle silnego lotnictwa niemiecko - włoskiego. Osłabienie lotnictwa włoskiego nie ulega wątpliwości, jak i nie ulega wątpliwości, że Mussolini nie jest w stanie pokryć strat produkcją. Wobec tego gros wysiłku będą musieli przejąć na swoje barki Niemcy. To też właśnie na południe ściągają maximum sił i masują je w południowych Włoszech. Tu doszukiwać się musimy przyczyn braku reakcji na bombardowanie Berlina.

Przeprowadzimy teraz bardzo ogólne tylko porównanie między Dunkierką a Tunisem. W chwili Dunkierki niemieckie lotnictwo było tak dalece osłabione blisko sześciotygodniową kampanią, że stany bojowe w eskadrach spadły prawie do zera. Bywały dnie, jak to wynika z pamiętników i wypowiedzi niemieckich lotników, gdy na eskadrę zaledwie jedna maszyna była zdolna do lotu i boju. W tych warunkach RAF z łatwością mógł osiągnąć przewagę i osiągnął ją tym bardziej, że pierwszy dzień operacji, był zarazem pogromem tych jednostek Luftwaffe, które jeszcze mogły i próbowały interweniować. Dla Luftwaffe był to przedsmak *Battle of Britain*, z którego jednak jej kierownicy nie wyciągnęli żadnych wniosków. Jeszcze nie zrozumieli, że RAF posiada nad Luftwaffe wielką przewagę w materiale i w personelu. Niemcy jak zwykle liczyli jedynie na przewagę liczebną w myśl zasady że zwycięzcą jest ten, którego ostatni samolot pozostaje w powietrzu.

Należy także wziąć pod uwagę fakt, że Dunkierka leżała całkowicie w zasięgu myśliwskiego lotnictwa brytyjskiego, które w dotatku startowało z lotnisk nie atakowanych przez wroga.

W Tunisie rzecz ma się inaczej. Rommel nie może liczyć ani na jedno z lotnisk tunetańskich, gdyż te, zgrupowane na wąskim pasie pozostającym jeszcze w rękach niemiecko-włoskich, są narażone na stałe bombardowanie. Pod ogniem bomb są również nie tylko Pantellaria, lecz także i lotniska sycylijskie. Nie najmniejszą rolę odgrywa i to, że z Tunisu na Sycylię jest znacznie dalej niż z Dunkierki do brzegów Anglii. W dodatku Alianci mają teoretyczną możność zgrupowania olbrzymich sił lotniczych na tym wąskim odcinku, gdy możliwości państw Osi są ograniczone. Wszystko to razem zsumowane i wyrażone w szansach udania się akcji ewakuacyjnej, stawiają ją pod znakiem zapytania. Nawet w tym wypadku, gdyby flota niemiecko-włoska wygrała bitwę morską o przesmyk sycylijski.

Powiedzieliśmy o kilku przyczynach dla których Londyńczycy mogli spokojnie celebrować uroczystości dwudziesto-pięciolecia RAF'u. Poruszyliśmy najważniejszą, lecz są inne mniej ważne. Do tych należy konieczność utrzymywania poważnych stanów bojowych lotnictwa na północnym pobrzeżu francuskim, belgijskim, holenderskim czy norweskim, dalej: konieczność utrzymywania poważnych stanów myślistwa nocnego w Niemczech, wreszcie niemożliwość zupełnego znegliżowania frontu rosyjskiego, mimo zastoju, który na nim w rzeczy samej panuje. Olbrzymie przestrzenie tego frontu połykają wielkie jednostki wojsk na równi z jednostkami lotnictwa w takiej mierze, że nawet tak zwana słaba obsada, jest liczebnie bardzo wysoka.

Na zakończenie jeszcze parę słów na temat dwudziesto-pięciolecia RAF'u. Ten dzień i jego znaczenie należało by dobrze przestudiować. Mieliśmy przecież do czynienia ze zdanym egzaminem pewnej organizacji. RAF jest najstarszym z zupełnie samodzielnych lotnictw europejskich a nawet światowych. Pierwsza Wielka Brytania, nie bacząc na poglądy ścierające się na kontynencie, na terenie licznych państw uchodzących wówczas za mocarstwa lotnicze, odważyła się na krok radykalny: odcięła lotnictwo od armii lądowej i od marynarki stwarzając "trzecią siłę." Dopiero w parę lat potem poszedł śladem Wielkiej Brytanii Mussolini tworząc swą Reggia Aeronautica, wreszcie Niemcy ze swą Luftwaffe.

Jednak zarówno samodzielność włoskiego, jak i niemieckiego lotnictwa nie dała tych rezultatów co samodzielność RAF'u. Należy doszukiwać się przyczyn w tym, że Włochy związały swe lądowe lotnictwo nadto z marynarką, nie tworząc odmiennego rodzaju lotnictwa morskiego, takiego, jakie Brytyjczycy mają w swej Fleet Air Arm. Niemcy natomiast związali znowu swe lotnictwo zbytnio z armią, czyniąc de facto z Luftwaffe powietrzne oddziały pomocnicze armii lądowej do celów wyłącznie ofensywnych. Wielka Brytania zapewniła marynarce osobne lotnictwo, przy równoczesnej ogólnej współpracy z armią. Rozwiązanie zagadnienia widziała w lotnictwie operującym samodzielnie, na własną rękę, w ramach ogólnego programu operacji wojennych.

Takie postawienie sprawy spowodowało szereg błędów, z których najbardziej charakterystyczne przypadają na rok 1940, gdy to lotnictwo działało samodzielnie bez względu na toczące się wypadki na ziemi, według własnego planu. W efekcie zarówno ziemia nie miała potrzebnej pomocy, jak i bombardowanie nie dawało rezultatów. Od tego czasu zmieniło się jednak wiele, czego dowodem świetnie wiązane między lotnictwem, marynarką a wojskiem lądowym operacje w Afryce.

Jednak fakt pozostaje faktem: oddzielenie lotnictwa jako osobnych sił powietrznych okazało się na tle przykładu brytyjskiego nadzwyczaj dobrą rzeczą, którą należy naśladować.

M. J. GORDON

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1 — 31 marca 1943

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 3, prawdopodobnych — 1. Ponadto przez pilotów polskich w Afryce Północnej 2 pewne.	Łączna ilość samolotów: 184. Bombardowanie miast i portów. Minowanie wód terytorialnych nieprzyjaciela. Patrolowanie mórz i walka z żeglugą nieprzyjacielską.

Dywizjon Współpracy wykonywał loty operacyjne w osłonie konwojów

Razem od czasu przybycia do Anglii do 31 marca 1943

zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 512	Łączna ilość samolotów: 4,994

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

Strategia obecnej wojny

B.D.I.C

Określenie: "strategia" nie posiada dzisiaj ścisłej i ogólnie przyjętej treści, szczególnie gdy posługują się nim tak liczni w obecnej fazie wojny "stratedzy" — przy stoliku kawiarnianym.

Przyzwyczailiśmy się określać tym mianem *sztukę prowadzenia wojny*. Uważamy tę sztukę za coś znacznie wyższego, a co najmniej bardziej złożonego, niż sztuka prowadzenia operacji wojskowej czy kierowania bitwą. Dla tego niższego rodzaju dowodzenia, graniczącego ze zwyczajnym rzemiosłem, używamy powszechnie określenia "taktyka."

W istocie w strategii i taktyce, w wojnie i bitwie chodzi o to samo: zmuszenie przeciwnika do przyjęcia walki w miejscu, czasie i w warunkach najbardziej dogodnych dla nas, a najmniej odpowiadających przeciwnikowi. Takie jest zawsze zamierzenie każdego dowódcy, czy jest on naczelnym wodzem, czy dowódcą batalionu.

Zadaniem dowódcy jest pokierować wszystkimi wstępnymi przygotowaniami tak, aby podlegli mu ludzie i maszyny wojenne, którymi ci ludzie kierują, zawsze znaleźli się w koniecznej liczbie, w najbardziej potrzebnym miejscu, w odpowiednim czasie i właściwie nakierowani. Dalszy rozwój wypadków i zwycięstwa zależą już tylko od wartości walczącego żołnierza i maszyn.

Teoretycy wojskowi odkryli kilka niewzruszonych, odwiecznych prawd wojny i wynaleźli całą masę zasad i recept, według których dowódcy i wojska muszą postępować, aby zwyciężać. Te prawdy, zasady i przepisy zawarte są w niezliczonych tomach klasyków wojskowych i w regulaminach wojskowych. Można by powiedzieć, że o prowadzeniu wojny i kierowaniu bitwą napisano już wszystko i że zgłębiono zagadnienie gruntownie. Wystarczy więc zajrzeć do jakiejkolwiek historii wojen, Clausewitza, pamiętników Napoleona czy Focha, a znajdziemy wszelkie potrzebne wskazówki do rozumienia strategii obecnej wojny.

Szybko jednak przekonamy się, że jest to złudzenie. Okazuje się, że wojna dzisiejsza jest zupełnie niepodobna do żadnej z poprzednich i jeżeli w przebiegu poszczególnych bitew tej wojny można znaleźć pewne, czasami nawet duże podobieństwa do bitew stoczonych kiedyś, to podobieństwa te są wyłącznie zewnętrzne.

Jeżeli nawet odwieczne, klasyczne prawdy wojny pozostają ważne i w obecnym konflikcie, to ich *stosowanie* w każdym razie przybrało zupełnie nowe formy. Jeszcze raz znajdujemy potwierdzenie faktu, że teoria wojny, wszelkie nauki i wnioski co do jej prowadzenia oparte są na doświadczeniach *wojen ubiegłych;* teoria nie nadąża za życiem, a historia wojenna nie powtarza się!

W artykule niniejszym mamy zamiar przedstawić kilka obserwacji na temat strategii obecnej wojny, nie pretendując oczywiście do wyczerpania tego rozległego tematu.

* * *

Najbardziej uderzającym momentem w obecnej wojnie jest zdecydowana przewaga czynników politycznych i gospodarczych nad czynnikami czystej strategii. Jest ona tak wielka, że wojną kierują dzisiaj właściwie już nie naczelni wodzowie — wojskowi, lecz politycy. Politycy decydują o wyborze teatru działań wojennych, celach poszczególnych kampanii, nawet sposobie ich prowadzenia. Z pewnością też nie marszałkowie i generałowie narzucą sposób zakończenia wojny: sposób ten będzie wynikiem politycznych przesłanek i politycznych rozgrywek, prowadzonych dosyć niezależnie od tego, co się dzieje na polach bitew.

Wpływ założeń politycznych na strategię obecnej wojny jest tak wielki, że wbrew podstawowej zasadzie strategii, jaką jest koncentrowanie wysiłków wobec głównego nieprzyjaciela, obserwujemy od początku wojny, a właściwie już od Monachium, coś wręcz innego. Po kolei poszczególne kraje europejskie i ich armie padały ofiarą niemieckiej przewagi militarnej i niemieckiej inicjatywy działań. Nie było żadnego wspólnego planu przeciwdziałania ze strony najbardziej nawet oczywiście zagrożonych państw, nie było żadnego dążenia do odebrania Niemcom *inicjatywy,* nawet wówczas gdy było zupełnie jasne, że świat jest w obliczu nowej powszechnej wojny światowej.

Skutki tego trwają do dzisiaj i powodują, że wojna prowadzona jest na trzech niezależnych, właściwie niepowiązanych obszarach strategicznych: w ZSRR, w Afryce Północnej i na Dalekim Wschodzie.

Późne i niedobrowolne wejście Ameryki do wojny ma ten skutek, że jej wielkie zasoby ludzkie i materiałowe nie biorą wciąż jeszcze należnego udziału w wojnie. Wojna podwodna, którą zdążyli tymczasem przygotować Niemcy, opóźnia bowiem koncentrację sił amerykańskich na obranym przez Aliantów głównym kierunku działań — przeciw Niemcom.

Odosobnienie polityki sowieckiej, spowodowane częściowo postawą Europy i Ameryki wobec ZSRR a częściowo odrębnością celów tej polityki, było przyczyną, że ZSRR z całym jego kolosalnym potencjałem wojennym zaważył tylko biernie i raczej ujemnie w obecnej wojnie aż do lata 1941 r., gdy Związek Sowiecki, podobnie jak szereg innych państw europejskich, został *niedobrowolnie,* bo przez Niemców, wciągnięty w wojnę. Aż do obecnej chwili nie ma ogólnej strategii anglo-amerykańsko-sowieckiej, a są tylko jednocześnie prowadzone wojny: niemiecko-sowiecka i niemiecko-brytyjsko-amerykańska.

Co więcej fakt, że ZSRR nie jest w wojnie z Japonią, w dużym stopniu powoduje , że Japonia względnie bez przeszkód organizuje olbrzymie swoje zdobycze na Pacyfiku i wyrasta na potęgę militarną, której zniszczenie będzie prawdopodobnie równie trudne i przewlekłe, jak zniszczenie potęgi niemieckiej. Jedyne bazy lotnicze i morskie, które mogą praktycznie wchodzić w grę jako podstawy do działań na wyspy japońskie, znajdują się w posiadaniu "neutralnego" Związku Sowieckiego. Jest to obok sprawy "drugiego frontu" jeden z zasadniczych momentów, świadczących o komplikacjach jakie pociąga za sobą brak wspólnej strategii.

Zresztą wbrew temu, co twierdzi propaganda niemiecka, nie ma również wspólnej strategii Japonii i Niemiec, gdyż nie tylko Alianci tracą na tym, że konflikt na Dalekim Wschodzie nie objął dotąd Japonii i ZSRR, ale przypuszczamy, że w interesie Niemców bardzo leżało by zaatakowanie ZSRR przez Japonię . . . Oczywiście całe to zagadnienie jest do dyskusji: być może dla wszystkich wystarczy, że na Dalekim Wschodzie i Japonia i ZSRR zmuszone są do utrzymywania w pogotowiu, "na wszelki wypadek," całkiem poważnych sił /sowiecka armia Dalekiego Wschodu i japońska armia kwantuńska/.

* * *

Można wprawdzie zgodzić się, że gdziekolwiek prowadzone są działania wojenne przeciw siłom zbrojnym, prowadzą one ostatecznie do pożądanego celu: niszczenia tych sił. Jednak zasady strategii wymagają użycia sił na najkrótszej drodze do celu i jak najbardziej oszczędnie.

Działania w Afryce Północnej nie były n.p. ekonomiczne dla Wielkiej Brytanii, gdyż musiało się włożyć niewspółmiernie duży wysiłek w dostarczenie każdego żołnierza, każdego czołgu, pocisku czy bomby lotniczej na ten teatr wojny. Podobnie nieekonomiczny był marsz — pościg 8-ej armii brytyjskiej wzdłuż całego północnego brzegu Afryki do Tunisu, gdyż wymagał kolosalnego wkładu energii i materiałów na odbycie tego pościgu.

Z wyjątkiem frontu wschodniego wojna prowadzona jest obecnie, od chwili zakończenia kampanii we Francji, nie *na najkrótszych i zasadniczych kierunkach,* lecz na kierunkach pobocznych, powtarzamy — niewątpliwie prowadzących również do celu, ale okólną, dłuższą i kosztowniejszą drogą.

Trzeba uwzględnić, że Niemcy mają tu z natury rzeczy pozycję uprzywilejowaną, gdyż działają na liniach wewnętrznych, z centralnego stanowiska. Niemcy mogą przerzucać mniejszym kosztem i szybciej siły na zagrożony odcinek swojej "twierdzy — Europy." Oczywiście jest to gra, której Niemcy nie potrafią uprawiać bez końca.

Nie mniej dopóki partner im na to pozwala, dopóty Europa będzie na łasce Niemców, a wojna, która nigdy nie była zjawiskiem konstruktywnym, pociągnie dla narodów europejskich katastrofalne skutki na przyszłość. Obecna strategia — jest strategią *długiej wojny,* długa zaś wojna jest tragedią również dla zwycięzców.

* * *

Druga wojna światowa w jeszcze większym stopniu, niż pierwsza zmusiła siły zbrojne państw walczących do prowadzenia operacyj, do których nie były one w istocie przygotowane, operacyj na nieprawdopodobnie wprost długich liniach komunikacyjnych. Szczególnie dotyczy to Brytyjczyków i Amerykanów, dla których też — pomimo posiadania wielkich flot wojennych i handlowych — sprawa komunikacyj morskich w ogóle, a przewozu wojska i zaopatrzenia w szczególności, nabrała niezwykłej ostrości. Jest ona do tej chwili właściwie decydującą o strategii Aliantów; kierunki działań i obszary działań wybierane są w zależności od tego, czy mogą tam dotrzeć statki z wojskiem i zaopatrzeniem, nie ponosząc zbyt wielkich strat.

W przeciwieństwie do Aliantów Niemcy i Włosi odczuwają tego rodzaju trudności w znacznie mniejszym stopniu, gdyż tylko niewielka ilość ich sił zbrojnych znajduje się za morzem i opiera się na zaopatrywaniu przez bazy morskie /Tunis/. Niemieckie komunikacje lądowe są wprawdzie też wyjątkowo długie, ale są bez porównania mniej zagrożone; pomimo szeregu trudności i przeciążenia sieci kolejowej trzeba bezstronnie uznać, że jak dotąd niemiecki system transportowy w Europie wypełnia zadanie dla frontu i nie wywiera zasadniczego wpływu na strategię niemiecką.

* * *

Powiedzieliśmy wyżej, że siły zbrojne biorące udział w obecnej wojnie, nie były przygotowane do działań na tak długich liniach komunikacyjnych i dopiero w ciągu dalszego trwania wojny uzyskają stopniowo swobodę ruchów. Co więcej, przebieg wojny na Zachodzie świadczy wyraźnie, że wojska przy ich dotychczasowej budowie organizacyjnej i środkach okazały się bezsilne nawet wobec względnie wąskich przeszkód wodnych, jaką bezwątpienia jest przeszkoda wodna między wyspami brytyjskimi a wybrzeżem północnej Francji.

Nie jest jeszcze dotąd ostatecznie wyjaśnione, dlaczego w 1940 roku, po upadku Francji, Hitler nie uderzył zaraz bezpośrednio na wyspy brytyjskie, dlaczego inwazję odłożył, a wskutek tego prawdopodobnie na zawsze wyrzekł się tej decydującej operacji. W jednej ze swych mów Hitler sam poruszył to niewątpliwie dręczące go zagadnienie: nie dał jednak wtedy wyraźnej odpowiedzi, oświadczając, że nie słowa, ale czyny będą odpowiedzią, gdy przyjdzie na to właściwa pora.

Wolno nam sądzić, że przyczyny zaniechania inwazji były przede wszystkim techniczne, te same, które do dzisiaj powodują trudności desantu alianckiego w Europie. Technika wojskowa nie opanowała jeszcze całkowicie tego najtrudniejszego dla człowieka żywiołu — wody. Oczywiście mówimy o operacji na wielką skalę — na skalę "inwazji."

Zrobiono wielkie postępy na lądzie, jeszcze bardziej zdumiewające w powietrzu. Duża armia w składzie kilkunastu dywizyj może przebyć w ciągu paru miesięcy 2500 km kompletnej pustyni po jednej drodze. W ciągu godziny można rzucić 1000 ton bomb na stolicę nieprzyjaciela z odległości 1000 km. Ale w dziedzinie opanowania wody stoimy wciąż jeszcze prawie na miejscu: wojsko lądowe jest właściwie nadal bezradne na brzegu morza.

Odosobniony jak dotąd przykład zdobycia przez Niemców Krety wyłącznie w drodze desantu powietrznego jest bardzo znaczącą wskazówką, w jakim kierunku mogłaby pójść strategia tej wojny, jeżeli chodzi o podstawową trudność: opanowania przeszkody wodnej. Oczywiście inwazja powietrzna Europy wymaga bardzo zasadniczych decyzji i daleko idącej przebudowy sił zbrojnych, a również bardzo trudnego do wykonania przestawienia produkcji lotniczej. Byłaby to prawdziwa rewolucja w dziedzinie strategii.

Jak na razie — nie możemy oczekiwać urzeczywistnienia takiego planu; jest on zaledwie w stadium dyskusji w gronie teoretyków wojskowych. Podobnie jak było z czołgami w ubiegłej wojnie, przemiany wojska i dostosowywanie się do nowych wymogów strategii dojrzewają tylko bardzo powoli. Dotyczy to nie tylko wojska lądowego, ale również floty i lotnictwa.

Strategia morska jest w stadium wyraźnego poszukiwania nowych dróg. Wobec braku skutecznych środków dla walki z okrętami podwodnymi i zjawienia się nad morzami i oceanami lotnictwa flota nawodna straciła dawną swobodę ruchów. Flota jeszcze w mniejszym stopniu, niż w ubiegłej wojnie, jest w stanie sama przynieść rozstrzygnięcie, a nawet jak dotąd nie może zapewnić wojskom lądowym desantu na zasadniczym kierunku. Tym sposobem wojska lądowe w dalszym ciągu nie mają drogi dostępu do murów europejskiej twierdzy, którą jednak zdobyć *trzeba.* Dzisiaj co do tego nikt już nie ma wątpliwości; ani samą blokadą, ani bombardowaniami, nie da się zniszczyć niemieckiej potęgi.

O lotnictwie bombowym jako czynniku, który mógłby sam rozstrzygnąć o wyniku wojny, pisało się zbyt wiele, aby trzeba było jeszcze raz powracać do tego zagadnienia. Dotychczasowe doświadczenia — z obydwu stron — raczej zaprzeczają takiej możliwości. W każdym razie jest to wciąż sprawa co najmniej bardzo sporna. Trzeba też stwierdzić, że ani ilości bombowców, ani częstotliwość bombardowań nawet w przybliżeniu nie odpowiadają danym, które wysuwają najgorętsi zwolennicy tego sposobu rozstrzygnięcia wojny. A jesteśmy dobrze w czwartym roku wojny i wszystkie kraje osiągnęły mniej więcej szczyt produkcji lotniczej.

* * *

Jakież z punktu widzenia strategii są perspektywy obecnej wojny? Niemcy mają już jedną tylko możliwość: grać na zwłokę na zachodzie, przedłużać wojnę, starać się wypolitykować pokój, wykorzystując obecny brak wspólnej strategii Aliantów i powstające trudności polityczne. Na wschodzie mogą Niemcy pokusić się raz jeszcze — prawdopodobnie ostatni — o uzyskanie militarnego rozstrzygnięcia, podejmując ofensywę wszystkimi siłami przeciw osłabionej armii czerwonej.

Z wielu stron słyszymy zdania, że rok obecny przyniesie wiele poważnych wydarzeń. Ostatnio gen. Sikorski w mowie w londyńskim City przestrzegał przed niewykorzystaniem możliwości skrócenia wojny. Skrócić wojnę można tylko, działając po najkrótszej linii i wszystkimi skoncentrowanymi siłami: frontu wschodniego, "drugiego frontu" i frontu — trzeciego. Na Niemców!

BRONISŁAW NOWICKI

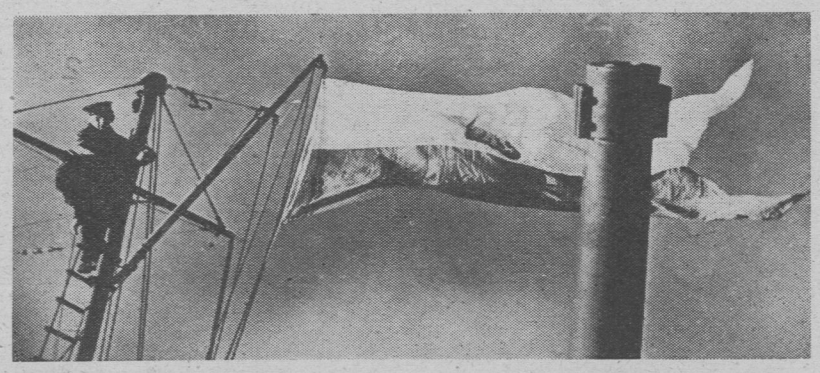

KOMANDOROWI P. . .

Nie wiesz, czy własną piersią prujesz czarną falę,
czy drzesz ją w strzępy dziobem Twego torpedowca,
serce Ci tętni, oczy Ci się palą.
wiesz, że widmo "Bismarcka" wplącze się pod obstrzał —

wiesz, że zagrzmisz i błyśniesz piorunem z "Pioruna,"
że słupy wody wkoło trysną, jak chryzanty,
że przestrzeń zawibruje jak szarpnięta struna,
i że echem odpowie potworny Atlantyk.

Salve, braci żeglarska! Salve, Komandorze,
sam sobie salve salwą rzuciłeś pod nogi —
za tych wszystkich poległych! Za jęk w białym dworze!
Za Twój naród, żołnierzu! Za te szepty mogił!

Złoty zygzak nie zdobi Twojego rękawa,
choć Ty po Arciszewskim już wziąłeś banderę,
patrzy ku Tobie Gdynia i patrzy Warszawa,
i olbrzymie Te Deum głuszy Miserere.

Powracasz po zwycięstwie przez ocean głuchy,
rzucasz jak kwiaty w wodę Twej radości blaski —

— a wicher Ci powtarza szkwałów swych podmuchem,
że tam na dnie gdzieś spoczął nasz Kaźmierz Pułaski.

EDWARD LIGOCKI

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

Niezłomne serca

Dokumenty martyrologii polskiej

Zastanawiając się nad źródłem "choroby," trawiącej w czwartym roku wojny nasze wojsko emigracyjne, odnoszę wrażenie, że czynnikiem niepoślednim jest tutaj zjawisko, któreby nazwać można zanikiem poczucia rzeczywistości polskiej.

Teoretycznie wszyscy wiemy o cierpieniach i bohaterstwie Kraju; z zapartym tchem słuchamy opowieści o gehennie rodaków deportowanych do ZSRR; mamy czasem wieści od kolegów przebywających w niewoli niemieckiej — to prawda. Dystans jednak i kontrast owej ich rzeczywistości z naszym względnie normalnym bytowaniem jest tak przeogromny, że soczewka umęczonej myśli zdaje się być niezdolna do ogniskowania całości. Zatrzymujemy w sobie zaledwie fragmenty bólu — ogrom polskiej niedoli rozpływa się w podświadomości.

Uderzmy się w piersi — tak jest. Syty dobrobyt, będący naszym niezasłużonym udziałem, w połączeniu z nazbyt długim oczekiwaniem wojska lądowego na walkę — sprzyjają małości. Małością nazywam naszą kłótliwość, przerost krytycyzmu, skłonność do demagogii i lubowanie się w burzach w szklance wody.

Jakaż na to rada? Myślę, że przede wszystkim: głębsze spojrzenie w samych siebie i dokoła siebie.

Tymi przesłankami powodowany, podejmuję próbę opublikowania na łamach "Polski Walczącej" kilku przypadkowo znajdujących się w moim posiadaniu dokumentów, obrazujących styl serc polskich. Tam w Kraju i tam — na syberyjskim wygnaniu.

Nie będą to żadne niezwykłe rewelacje. Po prostu listy pisane do osób najbliższych. Pisane częstokroć z całą świadomością rygorów cenzuralnych i napewno nie pretendujące "do druku." Publikując je, popełniam może małą niedyskrecję, sądzę jednak, iż mi ją Bóg wybaczy.

Listy, o których mowa, nie wymagają żadnych komentarzy. Zawarte w nich słowa mówią same za siebie. Wymagają jednej rzeczy t.j. wyobraźni — wczucia się w rzeczywistość, tak odmienną od naszej.

I.

Na pierwszy ogień słowa z Kraju. Mała wioska na Lubelszczyźnie. Marzec 1942. Adresat — "Staszek" — gdzieś na Środkowym Wschodzie.

Pisownię zachowuję bez zmian.

Kochany Staszku!

Dlaczego mi tak długo nie piszesz strasznie mi jest markotno że nic nie mam od Ciebie. Żebyś ty wiedział ile ja do Ciebie piszę tobyś mi nie uwierzył że tak piszę każdy tydzień. Rodzice piszą do mnie i ja do nich są zdrowi i ja też jestem zdrowa. Mój kochany żebyś wiedział jaką mam ciężką robotę że nawet to się muszę popłakać nadnią. No trudno muszę cierpieć. Mój kochany nasza corka umarła. Żeby była żyła tobym była miała lepiej tobym nie musiała tak ciężko robić. Napisz mi co Ty tam robisz czym żyjesz? Bo jestem bardzo ciekawa albo w czem chodzisz. Bo ja to nie mam więcej niż tylko to co mam na sobie. Wszystko jest pobrane nawet moja obrączka ślubna też teraz nie mam. W X., to nie ma nikogo już wszyscy obcy ludzie.

Ślę pozdrowienia i ucałowanie buzi. Nie zapominaj.

Władzia

Tylko tyle? — mógłby zapytać zdziwiony czytelnik, oczekujący jakichś wstrząsających obrazów. Tak — tylko tyle. Tylko: śmierć dziecka, sprzedaż obrączki i w wiosce X. "już wszyscy obcy ludzie" . . .

Proszę pomyśleć.

II.

Historia — jak tysiące innych. W jednym z garnizonów kresowych pełnił swą służbę żołnierską mjr. S. Typ wzorowego oficera i dowódcy — w sienkiewiczowskim stylu. Młoda żona — Pani Krysia. Nie znałem Pani Krysi osobiście, miałem jednak w swym ręku jej fotografię w okresie rozpaczliwych i beznadziejnych starań o jakiś okruch pomocy dla rodzin deportowanych do ZSRR — jeszcze przed zawarciem układu z dnia 30 lipca 1941. Uśmiechnięte błękitne oczy i jasne warkocze — wielka uroda. We wrześniu 1939 major poszedł na wojnę; należał do szczęśliwców, którzy uniknęli niewoli niemieckiej i po licznych peregrynacjach trafił do Brygady Karpackiej.

Rodzinę władze sowieckie deportowały. Nie tylko żonę ale i wszystkich najbliższych: staruszkę matkę, ciotkę, dwie siostry. Potworna ale zwykła kolej rzeczy: w jednej deportowanej rodzinie trzy generacje z przygniatającą przewagą kobiet.*

Co biedna Pani Krysia zawiniła wobec tamtej rzeczywistości — dalibóg nie wiadomo. A raczej wiadomo — tylko to, że była Polką i żoną polskiego oficera.

Karta ś.p. Krystyny S. w Rosji była szczególnie tragiczna — po niezwykłych torturach moralnych, zmarła w szpitalu w T. dnia 14.VIII.1941.

Szukaliśmy jej gorączkowo po układzie polsko-sowieckim. Bez skutku. Dopiero na wiosnę 1942 przyszły trzy niżej podane listy. Bóg miłosierny oszczędził majorowi S. świadomości jego sieroctwa. Zabrał go do siebie w jasności żołnierskiej chwały na kilka tygodni przed nadejściem wspomnianych hiobowych wieści.

A oto listy:

Emilu kochany,

Bądź silnym wobec ciosów, które spadły na Ciebie; żyj dla Ojczyzny, choćby osobiste życie straciło dla Ciebie dawną wartość i powab.

Nie donosiłyśmy Ci w swoim czasie o śmierci Matki, aby Cię nie przygnębiać bolesną wieścią; zgon Krysi spadł na nas same tak okrutnym ciosem, że nie miałyśmy dotąd odwagi donieść Ci o nim. Pisywała do nas biedaczka serdecznie, to też przywiązałyśmy się do niej gorąco i przeżywałyśmy z nią całą jej udrękę i wszystkie jej obawy. W ostatnich miesiącach jej życia budziła się w niej nadzieja, że uda Wam się jeszcze odzyskać utracone szczęście; stawała się wówczas tak miłą dla nas, tyle nam okazywała serca i przywiązania . . . Ja jednak złe miałam przeczucia i drżałam o jej zdrowie, nie mniej jak o życie Twoje. Tak bywa nieraz, że gdy zaczyna nam migotać gwiazda przyszłego szczęścia, obawiamy się najlżejszego podmuchu zawistnego losu, aby nam jej nie zgasił; a przecież tu potrzeba było sił tytanicznych, aby przetrwać wszystko, co zdrowiu zagrażało. A skądże ona te siły mieć mogła — taki kwiat wychuchany w lepszych warunkach — przez oddane jej serca Matki i Twoje. To była sprawa przesądzona oddawną: ją tu czekało męczeństwo.

I nasze przetrwanie wszystkiego, co nas tu spotyka, jest wciąż pod znakiem zapytania. Janeczka i Marychna wysilają swoje zdolności gospodarcze, aby się nam głód nie dał we znaki, ale z pustego dzbana podobno i mądry Salomon nie naleje, a dzban nasz niewiele już ma do wysączenia. Z wiosną mają nas podobno przewieźć do T.; oczekuje się tego niecierpliwie, ale czy będzie to wybawieniem od złej doli, która nas osaczyła od chwili wybuchu wojny?

Ja już szczerze pragnę zajęcia miejsca obok Mamusi Waszej; przecież i mnie się wypoczynek po troskach życia należy; ona się doń po śmierci uśmiechała tak błogo, jakby w niej właśnie ukojenie znalazła.

W odbudowę przyszłej Polski nie wątpię; ale im mniej emerytów, tym dla Skarbu Jej lepiej będzie. Czymże zaś innym człowiek z sił wyzuty służyć Jej może? Jestem Wam nieskończenie wdzięczna za wszystko to, czym mnie darzyliście; błogosławię Was też serdecznie na przyszłość, która bodajby zagoiła rany serc Waszych, Twoje Emilu, specjalnie jej polecam.

Kochająca Cię z całego serca
Ciotka Stanisława

* * *

Emilu kochany,

Tak trudno brać pióro do ręki, gdy ono tyle bólu ma zadać sercu bliskiemu. Tyle razy zastanawiałyśmy się, jak nam należało postąpić i ciągle nie wiemy czy dobrze robimy. Braciszku kochany, jakże ciężko los nas doświadcza a Ciebie specjalnie. Nasza Matuśka już tam u Boga, pewno szczęśliwsza, aniżeli my tutaj, ale biedne Matczysko Krystynki jakże strasznie to odcierpi! Krzepię się tylko nadzieją, że głęboka wiara pozwoli jej mężnie krzyż ten przenieść — a Ty, Emilu kochany, masz teraz napewno tyle pracy i tak wielki cel przed sobą, jak odwalenie kamienia z grobu Matki naszej, że w tym odnajdziesz siłę do dalszego życia, które tak bardzo ciężkimi, zda się nieprzebitymi chmurami, zostało przesłonione.

Biedna Krystynka — tak bardzo marzyła o Waszym przyszłym wspólnym życiu, a jednocześnie tak się bała, że byłyby to zbyt piękne sny, aby mogły być prawdziwe. I my się też już marzeń boimy, a jednak ciągle marzymy. A i naszej Mamusi bodaj ostatnie przytomne słowa na trzy dni przed śmiercią były: "Ale Polska będzie."

Tak strasznie męczy nas teraz bezczynność. Jeszcze w sierpniu zgłosiłyśmy się z Jaśką do Służby Pomocniczej Kobiet; mamy już odpowiedź, że będziemy powołane w razie potrzeby i czekamy . . .

Całuję cię, Emilu, serdecznie. Gorąco modlę się za Ciebie i Krystynkę — Ona już może nie cierpi i wyprosi tam razem z Mamusią siły i hart dla Ciebie, Braciszku.

Maryśka

* * *

Emilu kochany,

Rok dzisiaj mija, jak otrzymałyśmy kartkę od Ciebie — jedyną, jaką tutaj otrzymałyśmy. Rok 1941 — taki dla nas okrutny, tyle nam zadał ciosów; dotąd trudno się otrząsnąć — trudno pisać. Myślę, że słowa współczucia są Ci potrzebne, a od kogóż mają być, jeśli nie od tych, którzy płaczą i boleją razem z Tobą. O śmierci Mamusi naszej /21 lutego 1941/ nie pisałyśmy ani my, ani Matka S., nie chcąc zadawać bólu i tak skołatanemu sercu Twemu. Kiedy dostałyśmy wiadomość o śmierci Krystynki Twojej, zmarłej 14 sierpnia, milczałyśmy również, pamiętając jak Ona sama chciała jak najdłużej utrzymać Cię w nieświadomości o stracie Mamusi. Śmierć Krysi dotknęła nas boleśnie — ostatnio stała się nam bardzo bliską. Korespondowałyśmy często, miałyśmy wspólne troski i radości, a Krysia dużo nam serca okazywała — tak bardzo się do nas garnęła.

Od pewnego czasu myśl napisania do Ciebie nie daje mi spokoju. Mam przeświadczenie, że Ty dowiedziałeś się już o śmierci Krysi, że przez kilka miesięcy, kiedy sytuacja nasza na terenie ZSRR uległa zmianie, Ty robisz wszystko aby się z Krystynką bezpośrednio skomunikować — że może zwrot paczki, która nadeszła po śmierci Krysi i została przez urząd odesłana, napełniła Cię ogromnym niepokojem. Nie czekając więc dłużej na list od Ciebie, z ciężkim sercem zabrałam się do pisania.

Emilu kochany, Bóg ciężko Cię doświadczył. Rozumiemy Twój ból, Twoją rozpacz; pamiętaj jednak, że z wolą Boską trzeba się nam godzić — wszystko co z Jego wolą się dzieje, jest dla naszego dobra, choćby nam się okrutnym zdawało. O naszych przeżyciach nie będę się rozpisywała — Boga prosimy, aby nam dał siły przetrwać to wszystko i odnaleźć się w Ojczyźnie ukochanej.

Wiesz, że Józikowie też są tutaj — w Archangielskiej obłaści. Los i ich nie oszczędził — 3-go stycznia 1941 umarł maleńki 9-miesięczny Juleczek — urodzony już tam. Śmierć maleńkiego Krysia bardzo odczuła. Listy jej wszystkie zachowuję jako drogie pamiątki. Trochę drobiazgów po niej zostało w szpitalu w T. — zabrać mógłbyś tylko Ty, załatwiając to przez Ambasadę Polską. Obrączka ślubna i medalik z Matką Boską zostały dane Krysi do trumny; łańcuszek zatrzymał szpital. Prosiłyśmy rodaków tam zamieszkałych o zaznaczenie grobu, aby można w przyszłości do niego trafić.

Pola została zabrana w Grodnie 9. lutego 1940. Adresu jej, mimo starań, nie mogłyśmy otrzymać; obecnie również bezskutecznie jej poszukujemy.

Gdy list ten dojdzie rąk Twoich — pisz zaraz, a ja wówczas obszernie napiszę.

Całujemy Cię bardzo serdecznie i polecamy opiece Najwyższego. Bądź silnym — życie Twoje potrzebne Ojczyźnie.

Janka

P.S. Krysia zachorowała na tyfus czy malarię /dokładnie nie wiemy/, potem przyszło zapalenie płuc — serce nie wytrzymało. Na serce umarła również nasza Mamusia — chorowała trzy tygodnie. Kartką Twoją ogromnie się cieszyła.

Cóż do listów tych więcej dodać można? Są one przekrojem jednej z niezliczonych tragedyj polskich. Tragedyj — na miarę przedtym nieznaną. Są ponadto świadectwem niezłomności ducha polskiego, górującego ponad wszelkimi przeciwnościami losu.

I jakże wymowną jest okoliczność, że ów niezłomny duch Polski o swą wolność walczącej przemawia do nas — tak bardzo po żołniersku — ustami polskiej kobiety.

ANDRZEJ LIEBICH

* Mógłbym zacytować bardzo liczne wypadki, w których deportowane rodziny wojskowe polskie składały się z czterech pokoleń. Jako przykład — rodzina podpułkownika R. /niewola niemiecka/ w składzie: żona Izabella, ur. 1908, córka Maria, ur. 1926, syn Józef, ur. 1928, matka żony Maria Z. ur. 1888 i babka żony Weronika Z. ur. 1865.

POEZJE Z KRAJU

Jeden z naszych rodaków przebywający w kraju neutralnym otrzymał z Polski dwa wiersze, które poniżej zamieszczamy. Są one znamienne nie tylko piękną formą poetycką, ale i nastrojem, który obrazują. Autorką obu utworów /mimo użycia męskiego zwrotu w pierwszym z wierszy/ jest kilkunasto-letnia dziewczynka.

ŁZY

Czasem się w oczach łzy zbierają smutne,
których powstrzymać nic chyba nie zdoła,
i żalem dziwnym serce wtedy woła,
i muszą płynąć, i płyną łzy smutne.

Wtedy są usta tak boleśnie drżące,
a w głowie ciężkich, dziwnych myśli roje.
Z oczu przymkniętych łzy płyną, łzy moje,
a takie dziwnie gorzkie i palące.

I wstyd mi wtedy, wstyd tych łez ogromnie,
a jednak płaczę, choć sam nie wiem, czemu,
i sam się dziwię smutkowi dziwnemu,

który łzy ciężkie przywołuje do mnie.
A jednak płyną z pod przymkniętych powiek
łzy, takie smutne, jak smutny jest człowiek.

ŚMIEJE SIĘ DO MNIE

Śmieje się do mnie ziemia cała,
okryta miękkim śniegu szalem.
Hen, w dal, odeszły łzy wraz z żalem
i pozostała radość biała.
Śmieją się do mnie sople lodu,
i brylanciki — iskry śniegu,
i nawet krzak, trącony w biegu,
chichoce, patrząc w głąb ogrodu.
Śmieje się do mnie błękit nieba,
dach domu, śniegiem przytłoczony,
i nawet czarne stare wrony,
dziobiące z ziemi resztki chleba.
Śmieje się do mnie słup przy płocie,
i stary drut, trącony nogą,
i ławka, zgięta ponad drogą,
i staw zamarzły, grożąc: trzpiocie!
Śmieje się do mnie — hej! — świat cały,
w śnieżnych iskrzący się kobiercach,
i radość dziwna płonie w sercach,
już dziś niepomnych, że płakały.

Dzieci polskie wyewakuowane z ZSRR

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

W Afryce Zachodniej

B.D.I.C

IV.*

PUSZCZA ASHANTI

Kierowca prowadzi jak nieprzytomny. Na przestrzeni 170 mil wzięliśmy dużo na swoje sumienie: siedem kur, dwie kozy. Potrąciliśmy starą murzynkę, otarliśmy błotnik ciężarówki. Na szosie przybrzeżnej jest duży ruch. Pełno *mummy busów*, z którymi nasz czarny szofer ściga się zawzięcie.

Te czarne *mummy busy* /półciężarówka z dachem i ławeczkami, z tyłu przyczepka na pneumatykach naładowana produktami lasu/ zrewolucjonizowały życie Afryki. Członek plemienia, którego zakres zainteresowań życiowych nie przekraczał promienia paru kilometrów, który nigdy nie stykał się z innym plemieniem, nagle po przeprowadzeniu drogi znalazł się w miejscu przepływu nieznanych mu uprzednio produktów, zobaczył ludzi mówiących innym językiem, o innych obyczajach. *Mummy bus* skrócił nieprzebywalną dla niego przedtem przestrzeń do paru godzin. Energiczniejsze jednostki skierowały się do osad, gdzie łatwiej zarobić i gdzie można wydać pieniądze. Więź szczepowa, istota życia tubylca, uległa rozluźnieniu. Powstał stąd międzyplemienny proletariat miast, gdzie nieraz piękną tradycję zastąpiło śmieszne małpowanie białego człowieka.

Z szosy nadbrzeżnej skręcamy na północ. Pojedyncze drzewa, kępy drzew, wreszcie puszcza, zielona puszcza tropików staje nad drogą. Drzewa olbrzymy, kępy bambusów i krzewy zdają się czyhać na chwilę sposobną, by zdusić wąskie pasmo drogi.

Z dala widzimy grupę ludzi pracujących, nasz samochód staje. Olbrzym leśny około 70 metrów wysoki leży powalony wczorajszym *tornado*. Na nim jak na Guliwerze czarne postacie murzynów. O usunięciu drzewa nie może być mowy. Od rana czarni z siekierami i piłami starają się wybić w nim otwór dla przepuszczenia ruchu. Czekamy jeszcze blisko dwie godziny, nim kawałek pnia ważący z 10 ton został wycięty i przez kilkudziesięciu ludzi przetoczony na skraj szosy.

Spędzam te dwie godziny chodząc po fermie kakao. Drzewka są nieduże koloru szarawo-zielonego jakby z plamami pleśni. Owoc kakao o formie dużego wrzeciona wyrasta z pnia i gałęzi, po prostu z każdego miejsca na drzewku. Owoc dojrzały jest żółty, niedojrzały zielonkawy. Jesteśmy w pełni zbiorów. Czarne postacie pracują koło drzewek. Zrywa się owoce pojedynczo i przecina się machetem. Zawartość: białawy miąższ i duże fioletowego koloru grochy wsypuje się do płytkiego dołu. Gdy dół jest zapełniony, zakrywa go się liśćmi. Po siedmiu dniach ta dziwna papka fermentuje. Grochy się oddzielają od reszty, zbiera się je i suszy na długich stołach we wsi. Przejeżdżając przez nie, czuję bardzo charakterystyczny i nieprzyjemny zapach kakao. Po wysuszeniu pozostaje tylko wsypać grochy do worków. Jak zrobić z tego czekoladkę pozostaje słodką tajemnicą Wedla. Murzynów to nie interesuje.

Te niepozorne drzewka to największe bogactwo *Gold Coast*. Puszcza, przez którą jadę produkuje 40 procent kakao świata. Kakao nie pochodzi z tego kraju. Zostało tu importowane przez przedsiębiorczego murzyna Tetteh Quarchie z hiszpańskiej wyspy Fernando Po. Widział on tam te drzewka i zasadził jedno w swej rodzinnej wsi Mammpong w 1879. Dziś produkcja kakao wynosi 250.000 ton i blisko milion akrów puszczy znajduje się pod jego uprawą.

Puszcza jest podmokła. Ściana bambusów zdaje się zupełnie nieprzenikliwa. Nie widać żadnego zwierzęcia czy ptaka. Tak byłoby przyjemnie zobaczyć jedno z tych zwierząt, które tłumnie przechadzają się na ekranie w *"Trader Horn,"* czy w różnych wersjach "Tarzana." Jesteśmy niewątpliwie w ich kraju, jest tylko jedno nieszczęście — jedziemy szosą. Wszystko, co żyje w Afryce, unika człowieka. Czarny je każde zwierzę, nie wyłączając węży, czy koników polnych i dlatego strach przed nim jest pierwszym prawem puszczy. Wiem, że słoń, pantera, byk wodny i setki innych gatunków zwierząt i małpoludów przechadzają się i pożerają wzajemnie nie tak daleko od czerwonej szosy. By je jednak zobaczyć trzeba iść na dwa tygodnie w puszczę z 15 tragarzami. Śpieszy mi się i nie mam tragarzy więc nie zobaczę zwierząt.

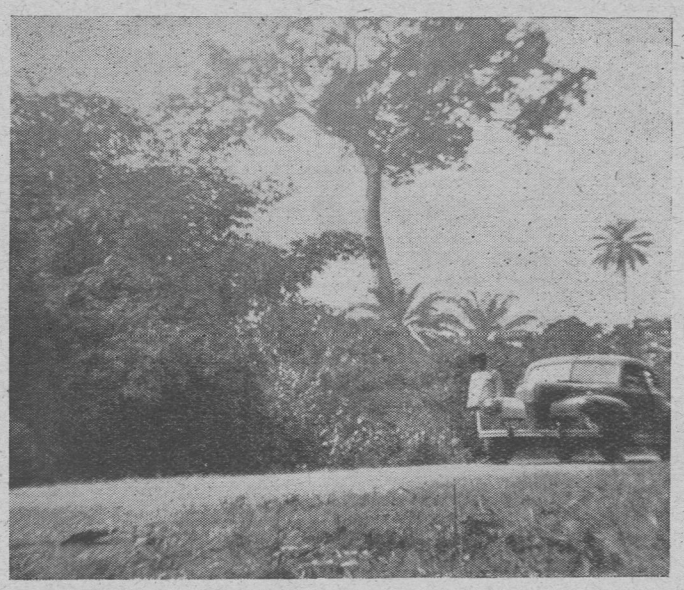

Droga w dżungli

Droga prowadzi przez pasmo wzgórz. Po lewej stronie przeraźliwie zielony jar, po prawej góra — porosła mahoniami, cedrami, orzechowcami i setkami gatunków drzew o pięknych miejscowych nazwach, jak: *Puruovo, Ya—Ya Mahube, Opampam.* Drzewa są wysokie. Walczą o światło w puszczy słabsze drzewa, przytulają się do wielkoludów i prawie się z nimi zrastają. Pnącze i liany tworzą taką gmatwaninę, że trudno się zorientować, czy korona należy do tego czy innego drzewa. Drzewa nie lubią lian, niektóre bronią się przed nimi. Zamiast kory drzewo najeżone jest kolcami, od korzeni do samej korony. Nie przypuszczam by się znalazł śmiałek wśród rodzaju ludzkiego lub zwierzęcego, któryby się na nie wdrapał.

Las rzednie, wjeżdżamy do stolicy puszczy Ashanti — Kumasi.

KUMASI

Około 1650 roku wielki czarodziej Okampfo Anokye polecił młodemu królowi plemienia Ashanti Osei Tetu, by zasadził dwa młode drzewka *"Kuma"* /gatunek cedru/ i założył swą stolicę tam, gdzie jedno z tych drzewek przyjmie się i zakwitnie. Jedno z drzewek uschło i do dziś miejscowość nazywa się *Kuma awu* /co w języku puszczy znaczy: Kuma — zmarłe/, drugie drzewo zakwitło i miejsce gdzie król Osei Tetu założył swą stolicę nazywa się *Kuma si* /Kuma żywe/.

Okompfo Anokye był nie tylko wielkim czarodziejem i wizjonerem, ale również wielkim mężem stanu. Gdy jego młody król osiedlił się koło żywego drzewa, *Kuma* — czarodziej nakazał bić w wielki *tam-tam* i zwołać do Kumasi wszystkich szefów plemion puszczy Ashanti wraz z ich żonami. Gdy dzień nadszedł, pod drzewem Kuma zasiadł Osei Tetu, obok niego stał siwowłosy Okompfe Anokye, a obok półkolem siedzieli szefowie szczepów puszczy. Uroczystości zaczęły się tradycyjnie zabiciem stu niewolników. By nie krzyczeli, przed ucięciem głowy oprawca wbijał im dwa noże w policzki, które unieruchomiały język. Gdy krew ostatniego niewolnika zrosiła polanę, Wielki Czarodziej udał się wolnym krokiem na środek, podniósł ręce do nieba i zastygł. Niebo nagle pociemniało, wśród grzmotów i błyskawic ukazał się w powietrzu złoty tron, który spłynął pod nogi maga. Znów słońce ukazało się na niebie. Mag podchodził kolejno do każdego szefa szczepu i jego żony i ucinał im kosmyk włosów i paznokcie. Poczem zmieszał włosy i paznokcie z krwią zabitych niewolników i wtarł tę miksturę w złoty tron. Od tej chwili tron wchłonął dusze szefów szczepów, a Osei Tetu, który na nim zasiadł, został wielkim królem Puszczy Ashanti.

Przed swoją śmiercią Okompfo Anokye przepowiedział, że gdy wielkie drzewo, królujące nad Kumasi, nazywające się w języku fanti — *Owawa* padnie, biały człowiek podbije Ashanti.

Przez dwieście pięćdziesiąt lat Ashantihene /król Ashanti/ rządził ze swego stolca puszczą i kupował od białych strzelby za drogocenne uncje złotego piasku. Jego wojownicy zapuszczali się na wybrzeże i brali niewolników. Ten stan rzeczy uprzykrzył się w końcu białym. Ekspedycja karna w r. 1876, prowadzona przez Sir Garnet Wolsleya przebyła puszczę i zbliżała się do Kumasi. W nocy nadeszło *tornado* i wielkie drzewo Owawa padło ugodzone piorunem. Następnego dnia rano Sir Garnet wkroczył do Kumasi.

Oglądam fort wybudowany przez Sir Garneta. Jest to duży kwadrat z wieżyczkami strzelniczymi w wałach ubitych z gliny. Fort ten jeszcze raz się przydał. W roku 1900 gubernator prowincji Ashanti zażądał wydania złotego tronu. Chciał w ten sposób zadokumentować, że biały człowiek jest władcą puszczy. Ashantihene Pempreh I odmówił. Gubernator oświadczył, że użyje siły. Nocy tej *tam-tamy* w puszczy zaczęły mówić. Od wsi do wsi szła wieść, że biały człowiek znieważył zaklętą w tronie duszę puszczy. Nad ranem uzbrojeni wojownicy zaatakowali dom gubernatora, który wraz z żoną musiał schronić się w forcie. Oblężenie trwało parę tygodni i posiłki z wybrzeża nadeszły w ostatniej chwili, by uratować załogę od śmierci głodowej. Gubernator został usunięty. Ashantihene zesłany na Madagaskar. Złoty tron zniknął w puszczy.

Ashantihene Agyemon Pempreh II częstuje mnie whisky z sodą. Jestem w jego pałacu. Jest to człowiek w wieku około 35 lat, ma inteligentną twarz, mówi dobrze po angielsku /jest honorowym podpułkownikiem i na jego pięknie tkanej, różnokolorowej todze widnieje wstążka O.B.E./. Nie mówimy o przeszłości, ale o tym, co dziś dzieje się w puszczy. Produkcja kakao i złota, zakup dwóch "Spitfireów" — to go interesuje.

Pampreh II jest siostrzeńcem Pampreh I-go — wygnańca. Dziedzictwo tronu, jak i w ogóle dziedziczenie jest w linii matczynej — dziedziczy się po wuju. Nie pytam go o złoty tron, jest tabu i nie wolno o nim mówić. Choć dziś w wioskach biją bębny, aby zebrać jak najwięcej na fundusz "Spitfire," biały wie, że mogą znów uderzyć na nutę wojenną. Nikt już nie odważy się prosić o wydanie złotego tronu.

SZOFER MUSI MIEĆ KURĘ

Wysyłam boyów wcześniej na ciężarówce, by mieli czas przygotować nam nocleg i kąpiel. Są bardzo zadowoleni. Gdy jadą w swej ciężarówce za nami, nie mają czasu zatrzymać się we wsi i ugotować kury czy pozalecać się do murzynek. Teraz siedzą na trzech naszych workach zawierających walizki, łóżka, siatki moskitowe, składane wanny i krzesła. Wszyscy trzej mają nieskazitelnie białe *topee*. To oznaka, że są w służbie białych, a nie po prostu *bush men* — tak noszący spodnie i *topee* murzyn nazywa pogardliwie swego brata z dżungli.

Objaśniam szoferowi drogę i mówię, żeby nie robili postojów. Odpowiada sakramentalnym: *"Yes Saa,"* ale szczerzy przytem zęby w uśmiechu. Wiem, że będzie dłuższy postój we wsi, kura ugotowana w oleju palmowym i może jakaś *mummy* da się uwieść za parę szylingów.

Gdy się wysyła czarnego szofera na trasę dłuższą niż 100 mil, trzeba poważnie rozważyć następujące możliwości: więc że nie dojedzie w ogóle, pojedzie w inne miejsce i że zamiast przyjechać dzisiaj, przyjedzie za trzy dni. Biorąc to pod uwagę, kazałem memu boyowi spakować siatkę moskitową, wannę i moje osobiste przybory toaletowe w jedną małą paczkę i zabrałem je ze sobą do auta. Z tym "niezbędnikiem" można wytrzymać trzy dni.

Żałuję, że nie jedziemy t.zw. *Safari* — samochodem używanym przez farmerów amerykańskich zarówno, gdy jadą z liczną rodziną do kina, jak do wożenia jarzyn. *Safari* to ideał w Afryce — bagaż, boy i master są zawsze razem. "Master" bez boya lub bagażu jest niewiele więcej wart w tym kraju, niż trzyletni berbeć w Europie.

VENUS PRZY TOALECIE

Jedziemy przez puszczę. Postój przy mostku rzuconym przez niewielką rzekę. Rzeka płynie w tunelu zieloności. Wielkie drzewa złączyły swe korony, liany dokonały reszty. Niedaleko od mostu kaskada — drzewo padając spiętrzyło wodę. W rzece są krokodyle, ale ich nie widać. Pod kaskadą natomiast kąpie się pięć młodych dziewczyn murzyńskich.

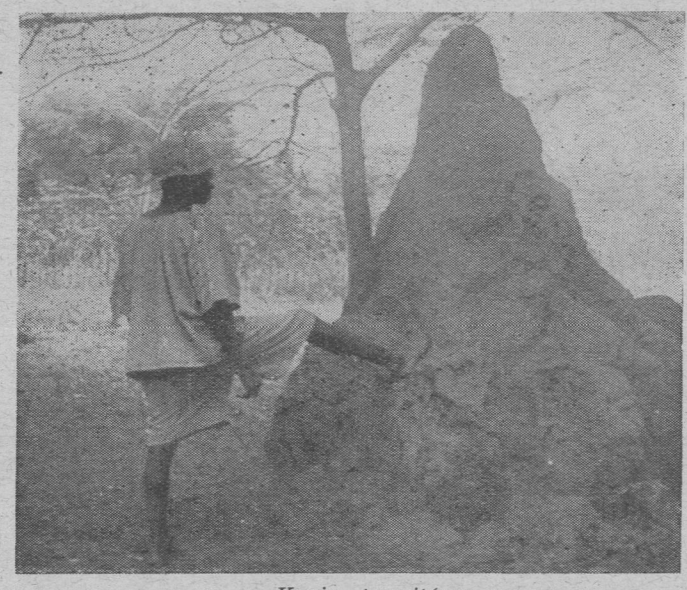

Kopiec termitów

Są w pierwszej chwili wystraszone, ale widząc, że trzymamy się na "przyzwoitym" dystansie chichoczą i dalej pluskają się w wodzie. Jedna z nich jest wyjątkowo ładna. Wygląda jak Venus z Milo tylko . . . wykonana z czarnego marmuru. Głowa kształtna o regularnych rysach. Jest zupełnie naga, ma tylko na biodrach sznur koralików pomarańczowego koloru. Widzi, że ją obserwuję i chowa się po szyję w wodzie. Te koraliki to nieodłączny strój kobiety od dziecińtwa do śmierci — nie rozstaje się ona z nim nigdy, ani w dzień, ani w nocy.

TERMITY

Przyjeżdżamy. Zamieszkuję w "ulu," a raczej chcę zamieszkać, bo oczywiście bagaż jeszcze nie nadjechał. Ale mam szczęście: mój Boniface czerwony od kurzu zjawia się z wesołą miną przed samym zmierzchem. Szofer opowiada mi długą historię o "nawaleniu kichy," w którą absolutnie nie wierzę. "Ul" jest bardzo prymitywny z glinianą podłogą. Boniface przyczepia siatkę moskitową do bambusowego stropu, nastawia łóżko i grzeje mi wodę w bańce. Jestem zmęczony drogą i po marnej kolacji z puszek kładę się spać.

Gdy się budzę rano, ściana mego "ula," tuż koło łóżka, wydaje mi się jakby spuchnięta. Przyglądam się bliżej i widzę, że to termity wbudowały swój kopiec w ścianie chaty: nie zauważyłem tego wieczorem przy świetle lampy naftowej. Dziś nie tylko widzę kopiec, ale słyszę pracę termitów w dachu "ula." Cała moja chałupa to jeden wielki kopiec termitów. Cieszę, się, żem tego nie spostrzegł, gdym się kładł spać — mogłem mieć przykre sny.

Mam trochę czasu przed dalszą podróżą. Planuję więc małą zemstę. Wołam murzyna z motyką i dobieramy się od zewnątrz do kopca. Jest on około dwa metry wysoki /kopce w Gold Coast mają nieraz i 4 metry, a w Congo są wielkości piętrowej kamienicy/, ulepiony z czerwonej glinki. Termitów nie widać. Czarny uderza motyką. Natychmiast ukazuje się kilkadziesiąt mrówek robotnic, są żółtawo-szarego koloru, długości około 1½ cm. Za chwilę robotnice znikają a zjawiają się wojownicy. Są blisko dwa razy więksi od robotnic. Mają ciemnobrunatne głowy przypominające hełm nurka oraz potężne szczypce.

Murzyn rozbija dalej kopiec. Tysiące termitów biegają jak oszalałe po zniszczonym mrowisku. Kopiec jest solidnie zbudowany. Tysiące galeryjek ulepionych z czerwonej gliny u szczytu i jakaś szarawa masa u spodu. To wylęgarnia i spichrz. Chcemy dostać się do królowej matki. Jest ona głęboko pod powierzchnią ziemi. Murzyn wygrzebuje duży kawał materii porowatej, rozłupuje ją rękami. Jest. Kawał twardej gliny wielkości pięści dorosłego mężczyzny o formie jajka. Kilka małych otworków po bokach i to wszystko.

Patrzę zdziwiony na murzyna, który się śmieje i mówi: *he be thee* /ona tam być/. Ostrożnie rozłupuje twardą skorupę — jest rzeczywiście. Ma głowę i tułów termita, a dalej galaretowata masa w formie serdelka wielkości najmniej 6-ciu cm. Serdelek ma trzy czarne paski na grzbiecie, ślad, że dawniej był termitem. Drga on cały czas konwulsyjnie i widzę wyraźnie, jak z końca odwłoka wychodzi strumień jajeczek. Nie wiem, jak leciwa jest ta "mama," ale specjaliści twierdzą, że może ona żyć około 34 lat. Nie powiedzieli ile miliardów jajeczek może ona w tym czasie wyprodukować. Życie jej jest smutne: zamknięta w swym więzieniu z gliny, które stanowi jednocześnie jej pancerz, jest karmiona przez mały otwór; nigdy nie widzi swych dzieci.

Mają słuszność ci co twierdzą, że termit, a nie człowiek, jest biologicznym władcą Afryki. Gdy termit postanowi objąć jakieś miejsce w swoje posiadanie, człowiek musi uciekać. Termity dzięki bakteriom, które są w ich żołądku posiadają rzadką zdolność trawienia drzewa. Ich pożywienie — to drzewo. Termit jest w odróżnieniu od mrówek "wstydliwy," nigdy go nie widać. Jego delikatna skóra nie znosi słońca. Pracuje nocą, posuwa się z miejsca na miejsce krytymi korytarzykami, które naprzykład na drzewach prowadzą po powierzchni aż do najcieńszych gałązek.

Murzyn bierze z mej ręki królową, chwyta ją w dwa palce i szybko połyka. Robi mi się słabo. Mam na dzisiaj dość tych termitów.

HENRYK GIEŁDZIŃSKI

* Por. nr. 12, 13, 14 "Polski Walczącej" z b.r.

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

Rozmaitości wojskowe

Ósma Armia, jakiekolwiek będą dalsze koleje tej wojny lub nawet bitwy tunetańskiej, zyskała sobie pod wodzą gen. Montgomery nieśmiertelną sławę. To nie tylko poklask tłumu dla wyczynu tak podniecającego wyobraźnię, ale także trzeźwy osąd fachowców postawił kampanię egipską, libijską i trypolitańską w pierwszym szeregu najsławniejszych bitew. Anglicy, skorzy przyznania sobie "punktu," gdy jest się czym chwalić, nie tają swej radości, tak jak parę tygodni temu nie taili swej "*Schadenfreude*" po porażce wojsk amerykańskich w środkowej Tunizji.

A. J. Cummings w rubryce "Spotlight" w "*News Chronicle*" z dnia 6.4.43 pisze: "Nie tylko gen. Eisenhower ale cały świat nie ukrywają swego podziwu dla brytyjskiej Ósmej Armii. Jest to obecnie najsłynniejsza armia na świecie i prawdopodobnie najsilniejsza. Jaki jest sekret jej siły? Pierwszorzędne wyposażenie, olbrzymie zahartowanie fizyczne, doświadczona zręczność we władaniu bronią, długie doświadczenie taktyczne, skuteczna praca zespołowa, ufność w ochronę powietrzną, wypróbowane dowództwo i zaufanie do swego generała. To wszystko, a nade wszystko "kompleks powodzenia," poczucie trwałej przewagi, głęboka wiara w to, że nie mogą być pobici, że umieją przezwyciężać wszelkie próby oporu wroga. Jak wszędzie tak i w bitwie powodzenie jest najlepszą podnietą. Powodzenie podwoiło siły Ósmej Armii."

Mimo tryumfu i dumy jaka brzmi w tych słowach publicysty, wyglądają one jak "*understatement*" w porównaniu z oceną obcych. Max Werner, znany komentator wojskowy tak pisze o armii brytyjskiej w swojej książce p.t. "*The Great Offensive*" wydanej w styczniu b.r.: "Niemcy wyobrażali sobie, że armia brytyjska będzie w tej wojnie armią drugorzędną, niedorównującą Niemcom. Zwycięstwo brytyjskie nad Rommlem zniweczyło tę nadzieję. Niemieckie marzenie o stałej wyższości nad armią brytyjską, nie ma historycznych podstaw. Wręcz przeciwnie. Istnieje podstawa do przypuszczenia, że Anglicy mogą i przewyższą *Wehrmacht* w toku wojny. Stwierdza to doświadczenie pierwszej wojny światowej. Po bitwie nad Sommą w lecie 1916 r. armia brytyjska była co najmniej równa armii niemieckiej. Pierwszą decydującą klęskę ponieśli Niemcy z rąk Anglików: od brytyjskich czołgów, piechoty i kawalerii. Była nią bitwa pod Amiens 8 sierpnia 1918 r. Czarny piątek armii niemieckiej — jak ją nazwał Luddendorf. Od niej zaczęło się załamanie machiny wojennej Kaizera, a ostatnia bitwa w Libii wykazała wyższość brytyjskiej broni, taktyki i dowództwa."

Nie sztuka być "największym narodem wojennym świata," jeśli się na dziesięć lat przed wojną o niczym innym nie myśli jak o wojnie. O prawdziwej wielkości świadczy jednak dopiero, jeśli naród nieprzygotowany do wojny potrafi pobić "największy naród wojenny."

* * *

"*Manchester Guardian*" z 18.2.43 przyniósł krótką wzmiankę, że "100.000 mężczyzn i kobiet poniżej 21 lat, służących w wojsku australijskim otrzyma prawo głosu przy następnych wyborach, na podstawie ustawy uchwalonej przez rząd Związkowy."

Ta naogół niedostrzeżona wzmianka miała widocznie jednak dość głośne echo, skoro angielska partia liberalna uchwaliła jak to donosi "*News Chronicle*" z 2.4.43 podobną rezolucję. "Liberalni posłowie postanowili zażądać zwołania komisji parlamentarnej, któraby przeprowadziła reformę wyborczą i dała prawo głosowania wszystkim mężczyznom i kobietom służącym w angielskich siłach zbrojnych . . . Partia liberalna pragnie aby wszyscy ci, którzy służyli w wojsku — niezależnie od wieku — mieli prawo głosu przy następnych wyborach." Słusznie! Jeśli ktoś jest dojrzały na to, aby służyć, jest dojrzały na to, aby radzić.

* * *

Komisja parlamentarna "*The Select Committee on National Expenditure*" ogłosiła raport p.t. "*Public Relations Branches of Service Departments,*" który nie tylko wywołał duży oddźwięk w prasie brytyjskiej, ale który powinien zająć także tych wszystkich nie-Brytyjczyków, którzy interesują się sprawami wojska.

"*Public Relations Branches of Service Departments*" to po prostu pompatyczna nazwa wydziałów prasowych poszczególnych formacji: armii, lotnictwa i floty. Komisja stwierdziła przede wszystkim pewien przerost tych nad wyraz ważnych i celowych instytucji, które zatrudniają ogółem 1166 osób kosztem 460,000 funtów rocznie. /Z tej liczby armia zatrudnia 791, lotnictwo — 285, flota — 90/.

Głównym zadaniem "*Public Relations*" jest informowanie społeczeństwa o sprawach sił zbrojnych i wojny. Najbardziej ruchliwe okazało się Ministerstwo Lotnictwa, co jest po części zrozumiałe ze względu na to, że akcja lotnicza jest z natury rzeczy szybka, że wyniki i straty łatwo i prędko można ustalić i że nieprzyjaciel sam wszystkie niemal wiadomości może łatwo sprawdzić. Na drugim krańcu jest admiralicja. Tu znowu warunki utrudniają pracę informacyjną. Rzadko tylko mogą okręty natychmiast raportować

Sir Alan Brooke,
Szef Sztabu Imperialnego

wyniki akcji morskiej choćby ze względu na niebezpieczeństwo zdradzenia swych pozycji. Bardzo często nieprzyjaciel nie ma możności stwierdzenia wyników spotkania. A *last but not least*, odgrywa tu także rolę znana, tradycyjna ociężałość Admiralicji, którą raport dyskretnie — po angielsku — ale jednak wyraźnie podkreśla. Komisja parlamentarna wyraża obawę czy też ten podział na 3 odrębne biura informacyjne nie wywołuje pewnej szkodliwej i rozrzutnej konkurencji i dlatego proponuje stworzenie dość skomplikowanej super-organizacji, złożonej pod przewodnictwem ministra z dyrektorów wszystkich "*Public Relation Branches,*" którzyby na częstych, wspólnych posiedzeniach ustalali równomierny podział "*news'ów*" nie krzywdzący żadnej broni.

Raport wymienia wszystkie pozaprasowe publikacje *Public Relations*. Najbardziej imponująco wygląda bilans lotnictwa. Broszura "*The Battle of Britain*" rozeszła się w ilości 4.345.417 egzemplarzy. "*Bomber Command*" miał nakład 1.330.000, "*Coastal Command*" 1.010.000. Z publikacji Ministerstwa Wojny tylko "*The Battle of Egypt*" przekroczyła pełny milion egzemplarzy /1.420.000/. Admiralicja wydała tylko dwie broszury z których najnowsza "*East of Malta, West of Suez*" ukazała się parę dni temu i otrzymała zamówienia na 700.000 egzemplarzy.

Fakt podziału *Public Relations* i tu działa zdaniem komisji szkodliwie, gdyż broszury te oprócz mało znaczących wzmianek nie pokazują współpracy wszystkich trzech broni tak znamiennej dla wojny obecnej.

Raport powyższy nie miał dobrej prasy. Anglicy są naogół bardzo czuli na wszelkie sprawy ograniczające wolność słowa czy opinii, a w tym wypadku w grę wchodzi potężna i przemożna w Anglii prasa.

"*Times*" — jak "*Times*" — dał obszerne streszczenie z ogólnikowym raczej komentarzem. "*Manchester Guardian*" z 3.4.43 — oprócz streszczenia poświęcił mu artykuł wstępny, spokojny w tonie i umiarkowany, ale nie bardzo przytakujący i dyskretnie krytyczny. "Znajomość faktów o rządzie i o wojnie jest sprawą zasadniczą dla obywateli państwa demokratycznego, którzy mają zarówno prawo jak i możność wpływania na politykę i dlatego powinni być dobrze informowani . . ." "Jeśli chwali się Admiralicję za jej oszczędność, nie należy zapomnieć jak ostro jej powściągliwość była krytykowana przez prasę z początkiem bieżącego roku. Twierdzono wówczas, że jej nieliczny personel i tak był zbyt duży na szczupłe "*news'y,*" które wydawał."

Bardzo napastliwy i pełen temperamentu jest artykuł w "*Daily Mail'u,*" p.t. "1166 *and All That*" ilustrowany dwoma wymownymi karykaturami. "*The silliest White Paper of them all was published yesterday.*" Tak się zaczyna artykuł a ton tego wstępu jest charakterystyczny dla całości. "Zalecają oni rzecz, która oznacza dosłownie "*rationing*" wiadomości wojennych. Jednego dnia Admiralicja ma dostać — dajmy na to — 12 inchów wiadomości, RAF 9 inchów a armia 5 inchów. A cóż będzie z *Combined Operations Command* Mountbattena? Jeśli o mnie chodzi, powinni dostać choć ze dwa yardy."

"*Daily Express*" we wstępnym artykule ostro krytykuje raport, a zwłaszcza jego zalecenia koordynacyjne. "Pomysł ten bardziej szkodzi interesom publiczności, niż odrobina zdrowego współzawodnictwa." "Kontrola przez komitety oznacza zawsze zamieszanie i zwłokę. Jeśli wiadomości dostaną się do rąk komitetu — publiczność nie może być dobrze obsłużona."

* * *

William Hickey opowiada w "*Daily Express*" z 6.4.43 taką historię: "Słyszałem o następującym dobrym przykładzie praktycznej propagandy w przyjaznym kraju neutralnym. Turcja posiada samoloty zakupione w Niemczech. Niemcy nie dostarczają więcej części wymiennych, wobec tego my je dostarczamy z zapasów które tutaj zestrzeliliśmy."

* * *

7 kwietnia b.r. odbyła się Izbie Gmin debata o stosunku żołnierza do spraw politycznych. Przepis o którym rozprawiano zakazuje oficerom i żołnierzom wszelkiej współpracy w partiach politycznych. Interpretuje się to w ten sposób, że żołnierz ma prawo czynnego udziału na zebraniach politycznych i t.p. tylko jeśli jest na urlopie i w ubraniu cywilnym. W mundurze wolno mu uczęszczać na meetingi polityczne ale nie wolno zabierać głosu ani stawiać pytań. Jedyny wyjątek od tej reguły to posłowie do parlamentu lub kandydaci na posłów, którzy mają prawo brać czynny udział w pracach partii politycznych, nawet jeśli są w wojsku. Dla wyjaśnienia należy również dodać, że żołnierzowi wolno głosować do parlamentu.

Kap. Cunningham-Reid, niezależny — ex-konserwatywny — poseł z Marylebone, postawił wniosek zmierzający do zniesienia wszelkich ograniczeń praw politycznych żołnierzy. Motywował to cytując powiedzenie Cromwella: "Żołnierz musi wiedzieć o co walczy i kochać to co wie." Ograniczenie swobody żołnierza tylko dlatego, że służy swemu krajowi jest niesprawiedliwe i niesłuszne. Nadto przepis ten jest — rzekomo — tak rzadko stosowany, że zniesienie go ulegalizuje jedynie stan faktyczny.

Rząd sprzeciwił się wnioskowi stojąc na stanowisku, że istniejący stan rzeczy dostatecznie zabezpiecza prawa żołnierza, jako obywatela. Wniosek kap. Cunningham-Reid'a przepadł w głosowaniu mając 33 głosy za, a 195 przeciw.

Dyskusja ta jest o tyle znamienna, że angielskie ustawodawstwo wojskowe jest w tych sprawach bardzo liberalne a angielska tolerancja i wyrozumiałość łagodzą te niezbyt surowe przepisy. Była to już druga debata na podobny temat. Pierwsza odbyła się niedawno z powodu listu majora R. Churchilla, syna premiera, do *Evening Standard*.

Manchester Guardian z 9.4.43 komentując w artykule wstępnym powyższą debatę podziela zdanie rządu dodając, że gdyby żołnierze mieli prawo czynnego udziału w meetingach, niektóre partie wykorzystywałyby sentymentalną wartość dla swych politycznych celów.

DOMINIK SZCZERBIC

Następny, wielkanocny /16-17/ numer "Polski Walczącej" ukaże się w zwiększonej objętości /12 stron/ oraz będzie zawierał 4-stronicowy dodatek z trzecią listą "Osób wyewakuowanych z Z.S.R.R." Numer ten będzie doręczony w miejscach odbioru oraz pojawi się w miejscach sprzedaży w Wielką Środę, dnia 21 kwietnia, rano.

Skrzynka pocztowa

O POLSKI PRZEKŁAD MÓW CHURCHILL'A

Szanowny Panie Redaktorze,

Pod wrażeniem pięknego i przekonywającego artykułu p. Stanisława Szurleja p.t. "Churchill mówi" w ostatnim /14/ numerze "Polski Walczącej" pozwalam sobie wysunąć sugestię, że warto by wydać w przekładzie polskim wybór najważniejszych i najpiękniejszych mów wspaniałego przywódcy demokracji brytyjskiej. Może *British Council* pokusiłby się o to, lub któraś z polskich firm wydawniczych. Będę chyba wyrazicielem nie tylko osobistych poglądów, ale także przekonań wielu Polaków przebywających na terytorium Imperium Brytyjskiego, jeśli stwierdzę, że klan "churchillistów" ma wśród nas wielu szczerych i zapalonych zwolenników. Pod urokiem tej potężnej osobowości są nawet ci z nas, którzy nie podzielają konserwatyzmu społecznego Churchill'a, którzy może w swoich marzeniach chcieliby w nim widzieć nie tylko wyraziciela najlepszych, najzdrowszych cech, odruchów i instynktów imperializmu angielskiego, ale i zapalonego poszukiwacza nowych form życia społecznego, reformatora tego typu, jaki reprezentuje Roosevelt.

Dla nas Polaków pamiętne będą zawsze te mowy premiera Wielkiej Brytanii, które w posępnych, koszmarnych dniach lata roku 1940, kiedy wydawało się, że ziemia usuwa się nam z pod nóg, wyrażały twardą, bezwzględną wolę oporu i walki Imperium Brytyjskiego z hitleryzmem i faszyzmem. Czym były te mowy dla naszych nastrojów możemy lepiej ocenić dziś, z perspektywy już trzyletniej. Wiemy także z tajnej prasy krajowej, jak głęboki oddźwięk ma każde przemówienie Churchilla w kraju. Jego słowa obiegają niezmiernie szybko cały kraj, są chciwie słuchane i czytane, namiętnie komentowane.

Myśląc o wydaniu małego polskiego zbioru mów Churchilla—w doskonałym, artystycznym przekładzie — mam na oku głównie największe skupienie polskie w tej chwili — na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Dla tych ludzi, spragnionych dobrej książki wybór przemówień polityka, tak fanatycznie przywiązanego do zasad wolności i form demokratycznych życia zbiorowego, dobrego Europejczyka i szczerego przyjaciela Polski, byłby znakomitą lekturą. Pogłębiłby on orientację w złożonych zagadnieniach aktualnej polityki zagranicznej, byłby świetną odtrutką na te czady i opary, jakie przenikają nieraz nawet bezwiednie do mas ludzkich pod wpływem działania wrogiej propagandy "osi."

Adam Ordęga

CHURCHILL NIE URODZIŁ SIĘ MÓWCĄ

Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwym zainteresowaniem czytałem artykuł p. St. Szurleja w nr. 14. "Polski Walczącej," kreślący postać Churchilla jako mówcy, zwłaszcza, że przytoczono w nim dosłownie historyczne słowa, które powinny utkwić w pamięci nas Polaków, a które były wypowiedziane w przełomowych momentach obecnej wojny. Znajomość postaci Churchilla dla Polaków jest bardzo ważna, gdyż w swych wypowiedziach o Polsce nie zawiódł on naszych nadziei. Z zaufaniem więc czekamy tej najważniejszej chwili przyszłości, kiedy słowa jego i decyzja niewątpliwie zaważą na wielkości, całości i charakterze powstającej Polski.

Przypuszczam, że w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości postać ta jako pierwszego męża W. Brytanii będzie przedmiotem wdzięczności, szacunku i dużego zainteresowania w Polsce. Zdajemy sobie sprawę, że w zaraniu powstania Polski wielu książek polskich o Churchillu nie będzie, ilość Polaków, którzy znają obszerne publikacje o nim, a także jego własne dzieła, będzie mała. Dlatego też wydaje mi się rzeczą pierwszorzędnej wagi, abyśmy my Polacy na emigracji w W. Brytanii, którzy pierwsi przyniesiemy do kraju przede wszystkim ustną pochwałę jego wielkości, przedstawili go w rzeczowym świetle jego zalet, bez zbędnych peanów, bez pochlebstw, do których jesteśmy skłonni w ujmowaniu "wodzostwa," a także bez pewnych nieścisłości. Wydaje mi się, że artykuł Stanisława Szurleja błądzi właśnie nieścisłością w jednym szczególe: "Nie sądzę — pisze autor—że *oratores fiunt*—oni, jak i poeci, *nascuntur*. Rodzą się, Churchill urodził się mówcą."

Nic bardziej nieprawdziwego. Churchill stał się mówcą, dzięki własnej, żmudnej pracy, urodził się bowiem z jedną, a nabył w bardzo wczesnym dzieciństwie drugą wadę fizyczną, a każda z tych wad wzięta z osobna, z reguły czyni człowieka nieznośnym i niemiłym rozmówcą, nie mówiąc już o mówcy.

Niech mi wolno będzie, jako lekarzowi wyjaśnić to zagadnienie z zastosowaniem wnikliwej, choć pozornie brutalnej metody Boya Żeleńskiego "rozbierania" nawet największych postaci. Jeżeli chodzi o Churchilla jako mówcę, badanie takie polegać musi na zaglądnięciu do gardła i jamy ustnej, a także na przysłuchaniu się tworzeniu przez niego spółgłosek podniebiennych, a to w okresie jego wczesnego dzieciństwa. Metoda ta nie przyniesie ujmy wielkiemu mężowi, wręcz przeciwnie pogłębi tylko ona nasz podziw dla jego wytrwałości i siły woli jako człowieka.

Churchill urodził się z wrodzoną wadą podniebienia, która daje mowie wybitny charakter nosowy, a które można częściowo wyrównać bądź zabiegiem chirurgicznym, bądź zastosowaniem t.zw. obturatora. Poza tym szeplenił jako dziecko. Obie wady były bardzo poważną przeszkodą w prawidłowej mowie, a zostały zwycięsko pokonane dzięki szlachetnemu uporowi, cierpliwości i treningowi woli Churchilla jako dziecka, młodzieńca i dorosłego człowieka. Praca nad wyrównaniem tych wad polegająca na korekcji i kształceniu wymowy rozciągnęła się na całe lata, a sam Churchill jako dojrzały mężczyzna wyraził powątpiewanie czy uda się mu kiedykolwiek zostać choćby przeciętnie dobrym mówcą. Wszystkie trudności pokonał zaiste cudownie, jak to możemy się obecnie sami przekonać, słuchając radia, a nieliczni z nas nawet na własne uszy.

Czyż to krótkie wyjaśnienie, które oparłem na ogłoszonych przez sekretarkę Churchilla obserwacjach i wspomnieniach o nim nie wzbudzi u czytelników tym większego szacunku i podziwu dla premiera W. Brytanii, który urodził się pokrzywdzony przez naturę, skazującą go na kiepskiego mówcę, a stał się jednym z największych mówców politycznych swego kraju, dzięki mozolnej pracy? Był bowiem ułomny w pewnym tego słowa znaczeniu, tak jak kaleką do dziś dnia jest jego wielki partner Roosevelt, który również dzięki tym samym zaletom woli i ducha stał się z człowieka przybitego do łóżka, wodzem drugiej połowy świata anglo-saskiego, trzykrotnym prezydentem Stanów Zjednoczonych, przede wszystkim człowiekiem z niedowładem obu kończyn dolnych, który pływa, prowadzi samochód i porusza się sam, choć z dużym wysiłkiem. Tak więc dziwnym zbiegiem okoliczności obaj ci wodzowie ludów anglo-saskich, którzy zwyciężyli "mdłe ciało," dzięki wielkości "ochotnego ducha," są dla nas żołnierzy przykładem woli walki.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy szacunku

Wit Rzepecki

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?
ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT
DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT
Send for FREE SAMPLE
MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

Z życia obozów

Łączność przy pracy i . . . zabawie

B.D.I.C

Jest piękny, chłodny ranek "gdzieś w Szkocji." Marcowe słońce bawi się w chowanego: od czasu do czasu zerknie wesołym okiem na świat, ale zaraz chowa się wstydliwie poza płachty chmur. Od rzeczki ciągnie mocny wiatr; zatrzymuje się na chwilę przy drodze, by potańczyć z nagimi konarami drzew i pędzi dalej w pole. Jest chłodno, ale przyjemnie.

Wdłuż drogi posuwają się trójkami żołnierze w odległości kilkuset jardów od siebie. Słychać jakieś tajemnicze głosy:

—"Hallo Celina Paweł, hallo Celina Paweł—jak mnie słyszycie, słucham?" To łączność stroi przed rozpoczęciem pracy.

Środkowy w każdej trójce zwraca uwagę osobliwym wyglądem: na uszach słuchawki, na szyi mikrofon, na plecach chlebak z baterią elektryczną i odpowiednimi przewodami, a na piersiach aparat z anteną—słowem chodząca radiostacja nadawczo-odbiorcza i obsługa w jednej osobie.

Wymieniają depesze między sobą, posuwając się stale naprzód. Nawet przy odbieraniu telegramów wpisanych nie zatrzymują się—opanowali już sztukę pisania w marszu. Pracuje w zasadzie jeden. Pozostała dwójka przygląda się i przysłuchuje, by po pewnym czasie zmienić kolejno radiooperatora. Jest to typowa i najprostsza praca na sieci zmierzająca do praktycznej nauki regulaminu służby ruchu.

Po dwugodzinnym spacerze wraca wiara do koszar z rumieńcami na policzkach i błyskami w oczach: triumfu, kiedy praca poszła gładko, jak z płatka, a złości, kiedy znalazł się w sieci jakiś "patałach," który po prostu nawalił. W 99 wypadkach na 100 nawala zawsze aparat, a nie radiooperator—tak przynajmniej twierdzi przyciśnięty do muru winowajca.

Łączność, szczególnie w pierwszym okresie szkolenia, pracuje przeważnie w koszarach. Koledzy z innych broni, zabłoceni i umorusani przy ciągłej konserwacji sprzętu, spoglądają zazdrosnym okiem na nasz "komfort," na czyste ubrania i "lekką" pracę w pokojach przy kominku. Nie wiedzą widocznie, że my również tęsknimy za świeżym powietrzem, że nasza praca nie jest bynajmniej łatwa.

W koszarach dopiero rozpoczyna się orka: wkuwanie alfabetu Morse'a, poprawianie tempa /niektórzy wyciągają już setkę!/, wykłady z elektrotechniki, regulamin służby ruchu i nauka angielskiego — naprawdę "można osiwieć."

Aparaty przeróżnego typu o dużym zasięgu są tak skomplikowane, tyle mają różnych pokręteł i zacisków, że nowicjusz gubi się w nich, jak w lesie. Trzeba nielada tęgiej głowy i sprytu, aby pokonać wszystkie trudności w szybkim i sprawnym zestrojeniu sieci.

Gorzej jeszcze przedstawia się sprawa z regulaminem służby ruchu. Przy pracy na klucz /posługiwanie się alfabetem Morse'a/ należy opanować kilkaset znaków-symboli. Mało opanować—trzeba je umieć na pamięć jak pacierz. Znaki te /litery i cyfry/ zastępują słowa, a nawet całe okresy i zdania; przez użycie ich zyskuje się szalenie na czasie z jednej strony, z drugiej natomiast utrudnia się przejęcie wiadomości przez podsłuch nieprzyjacielski.

Również z nauką języka angielskiego nie jest zbyt różowo. Pluton nasz w 90% składa się z kolegów przybyłych z Rosji. Nic więc dziwnego, że chłopcy napotykają na duże trudności. Nie mogą pogodzić się z tym, dlaczego po polsku jest inaczej, a po angielsku inaczej; próbują wszystkie formy i zwroty tłumaczyć na polski. To nie zawsze udaje się i oczywiście wielce ich denerwuje.

Powoli jednak zaczynają myśleć po angielsku. Uczą się angielskiego, i to jest bardzo charakterystyczne, nie dla osobistej wygody, flirtu ze Szkotkami lub korespondencji z Afrykankami. /W drodze z Rosji do Wielkiej Brytanii zatrzymali się dwa miesiące w Afryce Południowej i z miejsca podbili miejscową płeć piękną oraz sami ulegli jej czarowi, więc korespondencja kwitnie, nad listami pocą się jednak zaawansowani koledzy/. Studiują z zapałem język, bo wiedzą, że znajomość jego okaże się niezbędna przy współpracy z łącznością brytyjską lub amerykańską.

Mimo dużych trudności czynią nadspodziewanie dobre postępy w nauce, daleko wyprzedzając czas przeznaczony na normalne szkolenie. Nie wiem czemu to przypisać: czy zapałowi do pracy, czy też . . . długim nosom, bowiem dziwnym zbiegiem okoliczności /a może dzięki celowej i rozsądnej polityce naszych władz wojskowych/ wszyscy, od dowódcy począwszy, odznaczają się dużymi, długimi nosami. Zdaje mi się jednak, że raczej nosy decydują w tym wyścigu, bo ja ze swoim "umiarkowanym" nosem jestem zawsze pierwszy, ale niestety od końca, a przecież trudno mi zarzucić lenistwo czy brak zapału.

Nie tylko w pracy są nasi łącznościowcy pierwsi — nikt im także nie może dorównać w zabawie.

Kiedy ściągnęliśmy do nowego miejsca postoju, ludność wioski odnosiła się do nas z rezerwą. Zabolało nas to trochę i dlatego postanowiliśmy urządzić wielką zabawę, aby przełamać lody. Urządziliśmy ją z rozmachem i fantazją godną barw łączności.

Salą tonęła w gustownych dekoracjach. Z sufitu zwisały lampiony, z frontowej ściany spoglądały surowo, ale z aprobatą oczy wybitnych mężów stanu—naszych przełożonych i przyjaciół, na bocznych ścianach szkice z życia wojskowego, obrazki rodzajowe i orły ze skrzydłami rozpiętymi do lotu w otoku biało-amarantowych girland; szczególną uwagę zwracały rozmiarami i tematem dwa obrazy: obraz-symbol przedstawiający trzy pokolenia polskie /żołnierza-powstańca z 1831 r., żołnierza-legionistę Piłsudskiego i żołnierza wojny obecnej/ w walce o niepodległość oraz wizja przyjaźni polsko-szkockiej—oba wykonane z dużym talentem przez naszego kolegę, urodzonego artystę. W program wieczoru zostały misternie wplecione tańce regionalne /Krakowiak w strojach narodowych i taniec szkocki/ oraz kolędy polskie i piosenki żołnierskie.

W zabawę tę włożyliśmy dużo pracy, ale za to rezultaty przeszły nasze najśmielsze oczekiwania. Nasi szkoccy gospodarze, tym razem goście, oniemieli z podziwu. Cały następny tydzień byliśmy na ustach wszystkich, nawet pogoda zeszła na dalszy plan. Tak więc w ciągu jednego wieczoru wzięliśmy szturmem wszystkich mieszkańców wioski. Od tej pory jesteśmy ich najlepszymi przyjaciółmi.

JÓZEF KARPIŃSKI

Lampa ofiarowana przez saperów kościołowi w T.

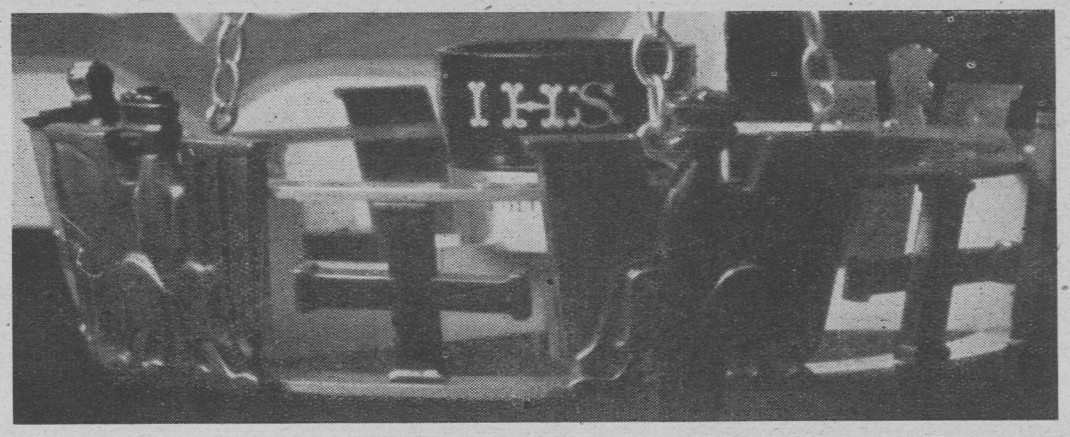

W lutym b.r. delegacja 1. Kompanii Saperów ofiarowała kościołowi katolickiemu w T., w którym kompania przebyła dwa lata, pamiątkową "Wieczną Lampę."

Lampa projektu art. malarza Mariana Walentynowicza, została wykonana własnoręcznie przez saperów pod kierownictwem kpr. pchr. B. Koszty materiału pokryli oficerowie i szeregowi.

Uroczystość rozpoczęła się mszą św., w której uczestniczyła delegacja Kompanii oraz wszyscy katolicy z miasta T. i okolic. Nabożeństwo celebrowane było przez biskupa katolickiego Dundee, który przybył specjalnie celem dokonania poświęcenia. Po wręczeniu lampy kościołowi przez dowódcę Kompanii Saperów mjr G., ksiądz biskup przemówił dziękując ofiarodawcom tymi słowy:

"W imieniu obywateli miasta T. i swoim własnym składam wam głębokie podziękowanie za waszą wielką ofiarność. Niech modlitwy moję na intencję wielkiej i niezłomnej Polski i Waszego szybkiego powrotu do uwolnionej Ojczyzny, zostaną wysłuchane przez Boga Wszechmogącego."

pch. J.O.B.

Nareszcie strzelamy

Zaczęło się, gdy nikt-a-nikt nie przypuszczał, że się coś stanie. Taki sobie zwykły dzień, pogoda piękna, szkocka, dopiero pod wieczór przestało lać. Chłopaczki, jak zwykle, na służbie siedzą i klną. Wolni od służby na *Ice-Rinku*. W baterii jest pusto i nudnawo.

Wartownik na bramce, znudzony ogląda już po raz nie wiem który swój *Tommy-gun*. Po drugiej stronie wejścia siedzi Dżok, nasz owczarek, który się tu urodził i klimat mu służy. Leży ponuro, zwiesił uszy. Autobusy przejeżdżają koło obozu, wartownik liczy według nich czas. Autobus co dziesięć minut. Dżok dziś nie jedzie do miasta, daremnie go konduktorka zaprasza /znają go wszystkie i zawsze uwodzą do miasta/. Ale Dżok się nie rusza. Komu by się chciało w taką psią pogodę.

Wypatrywacz na płaskim dachu *Command-Post* ogląda swoje buty, niebo ołowiane i sine, żadnego samolotu. Żeby chociaż Walrus, "wożący siano" z nad Forth. Ale nic. Absolutnie nic.

W cichej piwnicy *Command-Postu*, pod ziemią, dwu telefonistów przedyskutowało już wszystkie zalety tej rudej Margaret z N.1. Nawet drajwerka pułkownika /dziewczyna, jak szatan/ nie potrafiła wypełnić beznadziejnej pustki. Nic się nowego nie dzieje, chyba to, że czarna kotka telefonistów ma mieć dzieci — przygotowali już łóżeczko i małą kołyskę, którą ma dostać najładniejszy koci bobas. Kotka teraz śpi, ciepło jej w promieniach elektrycznego grzejnika. Grzejniki palą się w *Command-Post* dzień i noc, ale i tak trudno pozbyć się wilgoci.

Nadchodzi zmrok i milcząc szarzeją działa, nakryte pokrowcami i ustawione na zaporę. Ledwo już widać tarcze, pokrętła i zegary przelicznika — dalej bieli się długa lufa dalmierza ze smętnie zwieszonym pokrowcem. Wewnątrz zapalono już światła — mała zielona lampka telefonistów, w jasnym kręgu jej światła czarny, lśniący rząd telefonów. Obok wielki telefon. Czerwone i zielone światło. Centrala. Czerwone znaczy — Ognia — t.zn. bateria strzela. Zielone — nie ładować. Dalej w mroku wielka tablica wysokości i przyrządy, odległownica, stół plotingowy. Ostatnie wiatry naniesione na współrzędniku. Jak zwykle, od roku, gotowe.

Już cały rok mamy za nami, rok ciągłych ćwiczeń, ciągłych udoskonaleń i . . . czekania. Przez ten czas, ten rok, odkąd znowu jesteśmy ciężką baterią, były takie zmiany, że czasem wydawało się nam wszystko żywym organizmem. Przyrządy przychodziły, były nowe, potem przyzwyczailiśmy się do ich widoku. A potem znikały jednego dnia i szły w zapomnienie. Jak ludzie. Ludzie też tak przechodzili przez tę baterię. Przyrządy były też jak ludzie — sympatyczne, obojętne, niemiłe.

Pamiętam dawny sposób plotowania. Traktowało się to kiedyś jako coś nowego. Linijki 5-5, 5-7, 5-8, stopery, czas liczony w tył. Ten czas wystukiwany ołówkiem. Pięć, osiem, dziewięć, dziesięć. Teraz nikt o tym nie myśli, ot po prostu jeden na początku włącza zegar. Potem automatycznie kreśli się już tylko krzyżyki. Robotę odwala brzęczyk.

Albo dawne zapalniki. Strzelamy niby, zasięg wyrysowany na stole, ale nikomu nie przyjdzie do głowy, że to dwa razy tyle co w Polsce. Że w ogóle samolotu jeszcze nie widać, a już można strzelać. Bo oczywiście radiolokacja.

I te ciągłe ćwiczenia. Nazwy dziwaczne, cały ogród zoologiczny. Pantera, Byk, Jaguar. Pojedyncze samoloty, nurkowce, naloty gwiaździste, masowe. Ślepe trasy. Setki tego. Niektóre wyszły już z mody, przychodzą inne — wszystko dla utrzymania nas w kondycji. Tłuczemy ciągle to nocne strzelanie, przelicznikiem, plotingiem. I ciągle czekamy.

Ale dziś wieczór wszyscy byli już całkiem zrezygnowani. Apatyczni, zniechęceni, zgnuśnieli. I może dlatego się stało.

Gdzieś daleko jeszcze od strony Norwegii a może Holandii szły samoloty. Powoli budziły się do życia kolejne sieci dozorowania. Samoloty były grubo poza zasięgiem jakiejkolwiek baterii, mile całe nad morzem a już Dowództwo Lotnictwa prowadziło je i przekazywało następnym centralom.

Telefonista w baterii nic jednak o tym nie wiedział — jego kolega położył się obok spać a on kreślił pokraczne łamańce na kartce papieru. Wtedy właśnie centrala zdecydowała, że na nas czas i rzeczy zaczęły się dziać bardzo prędko.

Ostry dzwonek, czerwone światło na telefonie. I bez przygotowania, bez żadnego: *"I have a message for you."* Nic. Tylko od razu: *"Raid warning, Raid warning, take post."* Oba dzwonki alarmowe w dół.

Wartownik na bramce gwiżdże zajadle i przeraźliwie. Dżok jak zwykle jest pierwszy, biegnie już na stanowisko — wywieszony język i roześmiana morda. Wreszcie coś się dzieje. Na każdym baraku urywa się teraz dzwonek i cały obóz buczy ich upartym jazgotaniem.

Z baraków wysypują się niebardzo ubrane postacie. Ci, którzy nie położyli się jeszcze są "wygrani" i dobiegają już do dział. Reszta ubiera się gorączkowo po drodze. Ubieranie się w biegu, n.p. włożenie spodni to całkiem niełatwa rzecz. Niektórzy są całkiem zdecydowani ubrać się dopiero przy dziale i niosą cały swój dobytek w ręku. Dopadają do betonowych obmurowań dział.

Pokrowce zlatują w dół i już lufy idą do góry, długie, błyszczące w nikłych blaskach latarek działonowych. Ładują już pociski do nastawnicy, skrzypią nowe otwierane skrzynie, migoczą czerwonymi błyskami łuski. Przelicznik jest już włączony, motorki grają równym dźwiękiem. Podoficer strzelniczy założył słuchawki, wciśnięty trzyma mikrofon. Głośniki przy działach mają jasny, wysoki ton. W porządku.

Pierwsze gotowe, drugie gotowe, sekcja gotowa. Bateria gotowa.

Teraz uwaga wszystkich w *Command-Post* skupia się na czerwonych strzałkach. Samoloty prowadzone są przez odległe baterie. Idą równo, dwójkami. Prosto na nas. Jest.

—"Cel nadchodzi — odległość . . . tysięcy." Od tej chwili wypróbowana maszyna baterii idzie w ruch. Przyrządy zaczynają gorączkowo pracować.

—"Uwaga, ognia!" — i zaraz potem: — "Strzelanie przelicznikiem." Chwila oczekiwania, czy wyjdzie największy zapalnik. Jest zawsze ambicją każdej obsługi przelicznika, aby pierwszy strzał oddać na największym zapalniku — uda się to tylko wtedy, jeśli obsługa utnie wszystkie niepotrzebne ruchy, gdy meldunki idą jeden za drugim, praca jest precyzyjna i szybka. Ale udało się.

Teraz zaczyna się dopiero zabawa. Równo, metodycznie zaczynają walić działa. Teraz każde działo strzela już samo, kierowane przelicznikiem. T.zn. ile zdążą załadować, tyle ich. To też ładują zawzięcie.

Znowu konkurencyjna historia. Które działo zdąży więcej odpalić. Robili to tyle razy na ćwiczeniach, ale teraz idzie to zupełnie inaczej. Teraz naprawdę pracują, każdy pocisk przyniesiony, odetkany i wepchnięty do lufy ma przynajmniej jasną i wyraźną rolę.

Na trasie samolotu natychmiast widać efekt strzelania. Po pierwszych paru pociskach gwałtowną zmiana kierunku, chwilę potem druga prawie o 90°. Nachyleni nad stołem plotingowym spojrzeli po sobie. Ktoś się uśmiechnął. Nikt nie zazdrości teraz tym lotnikom tam w górze.

Samolot wychodzi już z zasięgu i wszyscy szybko go porzucają. Przyrządy obracają się na kierunek następnego samolotu. W działonach uprzątają łuski, słychać, jak wręczyciele kopią je na bok po betonie. Nagle zaczyna się od nowa.

—"Cel nadchodzi — odległość . . . tysięcy." Ten samolot jest w poważnym strachu. Droga jego to zygzak niepewny, wystraszony. Czekamy a nuż, co nie daj Boże nie wejdzie w zasięg. Ale nie, ostatni zakręt jest właśnie w naszą stronę.

Zaczynamy. Krótkie, bezlitosne serie. Tylko przelicznikiem. Jeszcze jeden zakręt. Walimy ciągle. Raptem nagła zmiana wysokości. Jeszcze przed chwilą było 9800 a zaraz jest 9300, 8100 i 7200. O tym wie tylko *Command-Post*. Kanonierzy przy działach ładują uparcie i szybko. Wkrótce cel jest poniżej kąta i przerywamy ogień.

Tyle o strzelaniu. Zobaczmy jeszcze baterię rano. Działony skończyły właśnie szorować lufy, idą spać brudni i pomęczeni. Wypatrywacze siedzą znowu w swych leżakach na dachu *Command-Post*. Kotka urodziła już dzieci i panuje narada. Wybór jest trudny; jeden czarny pętak jest naprawdę pierwsza klasa, ale znowu żal dwóch kropkowanych pozbawiać kołyski. W rezultacie śpi w niej cała trójka. Dżok leży przed wartownią. Jest bardzo zmęczony — oczy mu się kleją, nie spał przecież całą noc. Był na stanowisku.

Nastrój w baterii jest zupełnie inny niż zwykle. Pogoda jest co prawda ładna, słońce i prawie wcale nie ma wiatru. Ale jest jeszcze coś. Z uśmiechniętej twarzy każdego z nich: wartownika, wypatrywacza, telefonisty można wyczytać jedno i to samo.

Nareszcie strzelali.

JĘDRZEJ LIPIŃSKI

Wszystkie szczegóły konkretne w tym opowiadaniu /cyfry, nazwy i t.d./ są ze względów na tajemnicę wojskową — zmienione.

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

Dear Sir,
Will you please find enclosed the sum of £11.11.1 collected for programmes during our performances of "Polish Panorama" in Nottingham for Polish Children in Russia.
We would like to express our gratitude and warmest thanks to all our friends who contributed so generously.
We are sending our cordial thanks to Mrs. Nora Pittman, Honorary Secretary of Nottingham Anglo-Polish Society, and Misses Mary Morgan, Audrey Francis and Betty Fooks, of the 395 I. Catholic Com. of the Girls' Training Corps, for valuable help in collection.

Polish Forces Theatre
"Lwowska Fala"

* * *

Dear Sir,
Will you find enclosed £5, which we have received from Miss Denise Agnew, Honorary Secretary of Merseyside Anglo-Polish Society, after our performance of "Polish Panorama" in Liverpool, as a part of sum collected for programmes.
We are taking the opporunity to express our most sincere thanks to the people /citizens/ of Liverpool for that gift for Polish Children in Russia.

Polish Forces Theatre
"Lwowska Fala"

* * *

Zamiast kwiatów na trumnę śp. mjr. pil. Jana Michałowskiego, Dowódcy Dywizjonu "Lwowskich Puchaczy" składamy 30 szylingów na pomoc Polakom w Rosji.

Czołówka Teatralna
"Lwowska Fala"

* * *

Stanisław Duchiński, nieprzyjęte honorarium w kwocie £2 za artykuł "Modern Warfare" gen. Sikorskiego," drukowany w num. 13 "Polski Walczącej," ofiaruje na pomoc dla Polaków w Rosji.

* * *

Dear Sir,
Enclosed please find postal order for £1.7.0 which I have collected by raffling one lemon, in aid of Polish Children in Russia.

Yours sincerely,
Elisabeth Remet

* * *

Miss Betty Weeks z Brighton £1.0.0 jako dar na Polaków w Rosji.

* * *

Wpłacam na fundusz Rodaków w Rosji kwotę "jeden pound," jako zwrot pożyczki na urlop udzielonej mi przez por. Jerzego L. ze Lwowa.

P.M.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £8,333

W załączeniu przesyłam sumę £6 sh.6 /słownie funtów ang. sześć, szylingów sześć/, zebraną w dniu 16 marca b.r. w m. Wallyford przez Wallyford Women's Guild jako dochód z koncertu urządzonego przez chór żołnierski 10 Pułku Strzelców Konnych.
Zgodnie z życzeniem ofiarodawców przesyłam sumę niniejszą na rzecz Polskiego Czerwonego Krzyża z przeznaczeniem na pomoc dla dzieci polskich w Rosji.

Dowódca 10 Pułku Strzelców Konnych. Ppłk. Dypl. Sk.Fr.

* * *

Załączam 10 szylingów na pomoc Polakom w Rosji.

Strumieński Marian

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!
Załączam £5.0.0 na biedne dzieci polskie znajdujące się w Rosji lub gdzie indziej na szlakach naszej tułaczki.

M.L. ppłk.

* * *

W załączeniu przesyłam £8.10.0 /osiem, dziesięć/ na pomoc Polakom w Rosji, zebranych przez pilotów i radiotelegrafistów eskadry "Convertion."

Dowódca eskadry

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,
Przesyłam w załączeniu kwotę £3, dla uczczenia pamięci siostry mej Marji Jabłońskiej. Kwotę powyższą proszę przekazać na pomoc Polakom w Rosji.

S.B.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £46.14.1 /słownie czterdzieści sześć funtów, czternaście szylingów i jeden pens/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £8,333.8.5½ /słownie osiem tysięcy trzysta trzydzieści trzy funty, osiem szylingów, pięć i pół pensa/, 108 peset ów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwieńców.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

W załączeniu przesyłam money order na kwotę: £47 sh.11 d.10 /funtów czterdzieści siedem, szylingów jedenaście i pensów dziesięć/, którą to kwotę . . . Batalion Strzelców /Szkocki/ oraz 1 Oddział Rozpoznawczy przeznaczają na pomoc dla jeńców polskich w Niemczech. Suma powyższa została uzyskana — jako dochód — z zabawy urządzonej przez obydwa oddziały w dniu 9 marca 1943 r.

Oficer Oświatowy: C.P.

* * *

Szeregowi z 16 Kompanii Zaopatrywania po ukończeniu Centralnego Kursu Kierowców Samochodowych, zamiast pożegalnej kolacji przekazują zebraną kwotę £11 na fundusz pomocy jeńcom Polakom w Niemczech.

Oficer Oświatowy
por. W.

* * *

Przy niniejszym załączamy M.O. na £6.2.0 zebrane na jeńców polskich w Niemczech przez Korpus Oficerski Baonu "Szkockiego" zamiast pożegnania ppor. G. opuszczającego oddział.

Dowódca i Oficerowie Baonu "Szkockiego"

NA DZIECI POLSKIE NA BLISKIM WSCHODZIE

Redakcja "Polski Walczącej,"
Z zebranej przez Ośrodek R. W. w Edynburgu kwoty 20s. na kwiaty na trumnę ś.p. Alicji Maruszewskiej, przesyłamy połowę /dziesięć szyl./ na pomoc dla dzieci polskich na Bliskim Wschodzie, na ręce W. Panów z prośbą o przesłanie nam pokwitowania.
Z poważaniem

Opiekunka O.R.W.
W. Dobrzańska, mp.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Bezimiennie: 13 książek angielskich.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,
Pozwalam sobie przesłać przy niniejszym 10 egzemplarzy książki mojej "Przy świetle księżyca" dla Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie.
Łączę wyrazy poważania

Wacław Solski

* * *

Bezimiennie:
Wł. St. Reymont: "Chłopi," Jesień i Zima. — Henryk Sienkiewicz: "Potop" tom. I, II i III.

* * *

W. Szanowny Panie Redaktorze,
Uprzejmie proszę o łaskawe przesłanie niniejszej książki Junakom na Bliskim Wschodzie.
Z poważaniem

K. Iwanowski

Załączone:
K. Pruszyński: Droga wiodła przez Narwik.

* * *

Dr. H. Długosz: A. Mickiewicz: Księgi narodu polskiego. Lutosławski: O propagandzie. Polish Phrase Book. Science Digest. World Digest. Readers Digest /4 egz./.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłam dwie książki: "Ziemia gromadzi prochy" oraz "Kampania wrześniowa w Polsce" dla żołnierzy na Środkowym Wschodzie.
Łączę wyrazy poważania

Ppor. T.W.

* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 987 książek.

P.T. Redakcja "Polska Walcząca,"
Uprzejmie komunikuję, że Pułk Przeciwpancerny, biorąc czynny udział w akcji pomocy Polakom na obczyźnie, zebrał i przesłał do dyspozycji Szefa Int. I. Korpusu Panc. Mot. drogą ustaloną przez wojskowe władze t.j. przez Bank Szkocki, kwotę:

w styczniu b.r.	£25.16.11½
w lutym	£26. 7. 6½
w marcu	£25.18. 8
Razem	£78. 3. 2

Kwotę powyższą zebrano z dobrowolnych datków przy wypłacie żołdu żołnierzom pułku. Jednocześnie donoszę, że akcja ta będzie nadal prowadzona.

L. J. rtm. II Z-ca D-cy pułku

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ

Z Hollywoodu wracając
Poznał Waluś w wagonie
Pana Groszka z Chicago
W czarnym, lśniącym melonie.

Mister Groszek wzruszony
Wnet rodaka wyściskał—
Pociąg ruszył i wówczas
Spadła z półki walizka.

Ot, nieszczęście, mam guza!—
Jęknął wówczas pan Groszek,
—Niech pan pociąg zatrzyma,
Trzeba kupić gdzieś proszek.

Pociąg stanął. Konduktor
Klął już w sposób siarczysty,
Ale proszek, na szczęście,
Był u p. maszynisty.

Przy rozstaniu pan Groszek
Dał firmowe dwie karty
I powiedział: say, Pompka,
U mnie kredyt otwarty.

Waluś szczerze dziękował,
A z kredytu był dumny.
Potem adres przeczytał:
"Groszek. Wieńce i trumny."

KTOKOLWIEK z zainteresowanych Polaków życzyłby sobie **NOWY TESTAMENT** lub **EWANGELIĘ ŚW. JANA** w języku **POLSKIM** proszę się zwrócić pisemnie do pana S.K. Hine, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.

P. GRYKO STANISŁAW ma wiadomość w redakcji "Polski Walczącej," proszony jest o podanie swego adresu.

SPIS RZECZY:

Stefan Żurowski: Prawo do życia. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — *M. J. Gordon:* Nowości lotnicze. — Działalność bojowa lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii. — *Bronisław Nowicki:* Strategia obecnej wojny. — *Edward Ligocki:* Komandorowi P . . . — *Andrzej Liebich:* Niezłomne serca /Dokumenty martyrologii polskiej/. — Poezje z kraju /Łzy. Śmieje się do mnie/. — *Henryk Giełdziński:* W Afryce Zachodniej /IV/. — *Dominik Szczerbic:* Rozmaitości wojskowe. — Skrzynka pocztowa. — Z życia obozów. — *Józef Karpiński:* Łączność w pracy i zabawie. — *Jędrzej Lipiński:* Nareszcie strzelamy. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — *Ryszard Pobóg:* Przygody Walentego Pompki /rysunki *Mariana Walentynowicza*/. — Fotografie.

Poszukuję moich braci: DAWIDA, WŁADKA, JAKÓBA, MOŃKA I USZERA TUCHKLAPER, ostatnio zamieszkałych w Warszawie, ul. Brzeska 18.
Wszelkie wiadomości proszę kierować: Etta Tuchklaper, 15, Long Acre, Londyn, W.C.2.

Polka, nauczycielka przebywająca od kilku lat na Maderze pragnie nawiązać kontakt korespondencyjny z Polakami w Wielkiej Brytanii, jeśli możliwe nauczycielami z zawodu. Zgłoszenia do redakcji "Polski Walczącej."

Registratory biurowe. Kałamarze. Powielacze "Plex." Papier do powielania.
Notatniki. Papier do nut.
Koperty. Przybory biurowe.
MACFARLANE & DICKSON,
25, Castle Street,
Edinburgh.

NARODY ZJEDNOCZONE KOMUNIKUJĄ SIĘ W CZASIE WOJNY ZA POMOCĄ

CABLE AND WIRELESS
LIMITED

Spółka Telegraficzna w Anglii będąca własnością i pod zarządem wyłącznie brytyjskim.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

URZĄD OŚWIATY I SPRAW SZKOLNYCH,
Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, London, S.W.1.
zawiadamia o wydaniu książki:
MARIA DANILEWICZOWA
Mag. Fil. Uniw. Warsz.
LOSY BIBLIOTEK POLSKICH
Str. 58. Cena: 2sh.
Do nabycia we wszystkich polskich księgarniach i kioskach.
Skład główny: Składnica Księgarska (Polish Books Depot), 1, Atholl Pl., Edynburgh.

LITESOME
PASY PODTRZYMUJĄCE
zmniejszają wysiłek fizyczny
Przynoszą mężczyznom bez względu na wiek dużą ulgę. Wygodne w noszeniu. Model Mayfair 15/2. De Luxe 6/10. Poradź się krawca, aptekarza, w sklepie sportowym, lub też prześlij przekaz poczt. z podaniem miary w pasie do
FRED HURTLEY, LTD.,
Victoria Park Mills, Keighley.

PROSIMY ODWIEDZIĆ
najpiękniejszy w Edynburgu nowoczesny zakład fryzjerski
MAISON TENSFELDT
/The Ivory House/
79/81, Shandwick Place
100 m. za West End
Wielki wybór drobnych upominków w artystycznym wykonaniu
Galanteria. Dział kosmetyczny.

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes